

NR.12  
ROK V



**PODCHORAZY**



Składajcie ofiary na Naczelny Komitet Uczczenia  
Pamięci Marszałka Józefa Piłsudskiego  
Konto P.K.O. 1313

## FOTOGRAFOWIE UWAGA!!!

Redakcja „Podchorążego” pragnąc zachęcić wszystkich Kolegów Fotografów do wykonywania większej ilości dobrych zdjęć z życia wojskowego i związać z Nimi trwałą współpracę, wprowadziła stałe premjowanie najlepszych z nadesłanych fotografii.

Spośród zdjęć nadesłanych do każdego numeru, kilka najlepszych lub najciekawszych będzie nagrodzonych premją w wysokości od 2 zł. do 5 zł. Fotografie te będą zamieszczane w „Podchorążym”, a o przyznaniu premji Redakcja stale będzie zawiadamiać na tem miejscu.

Przy kwalifikowaniu fotografii do premji (i odpowiedniej jej wysokości) brane będą pod uwagę zalety artystyczne i techniczne zdjęcia, pomysłowość ujęcia tematu, sam temat i jego aktualność, oparte w pierwszym rzędzie na przeżyciach żołnierskich podchorążych zarówno w polu, w koszarach, jak i... wogóle wszędzie.

Zdjęcia powinny posiadać wymienione na odwrocie nazwisko i przydział wojskowy autora. Przyznana premja będzie przesłana w ciągu 10 dni od daty ogłoszenia jej przyznania.

**Koledzy! Zachęcamy Was do stałej i bliskiej współpracy z Redakcją. Zareagujcie żywo i obficie na nasze wezwanie.**

## PREMJE

Redakcja „Podchorążego” przyznała następujące premje za zdjęcia zamieszczone w Nr. 11 naszego pisma:

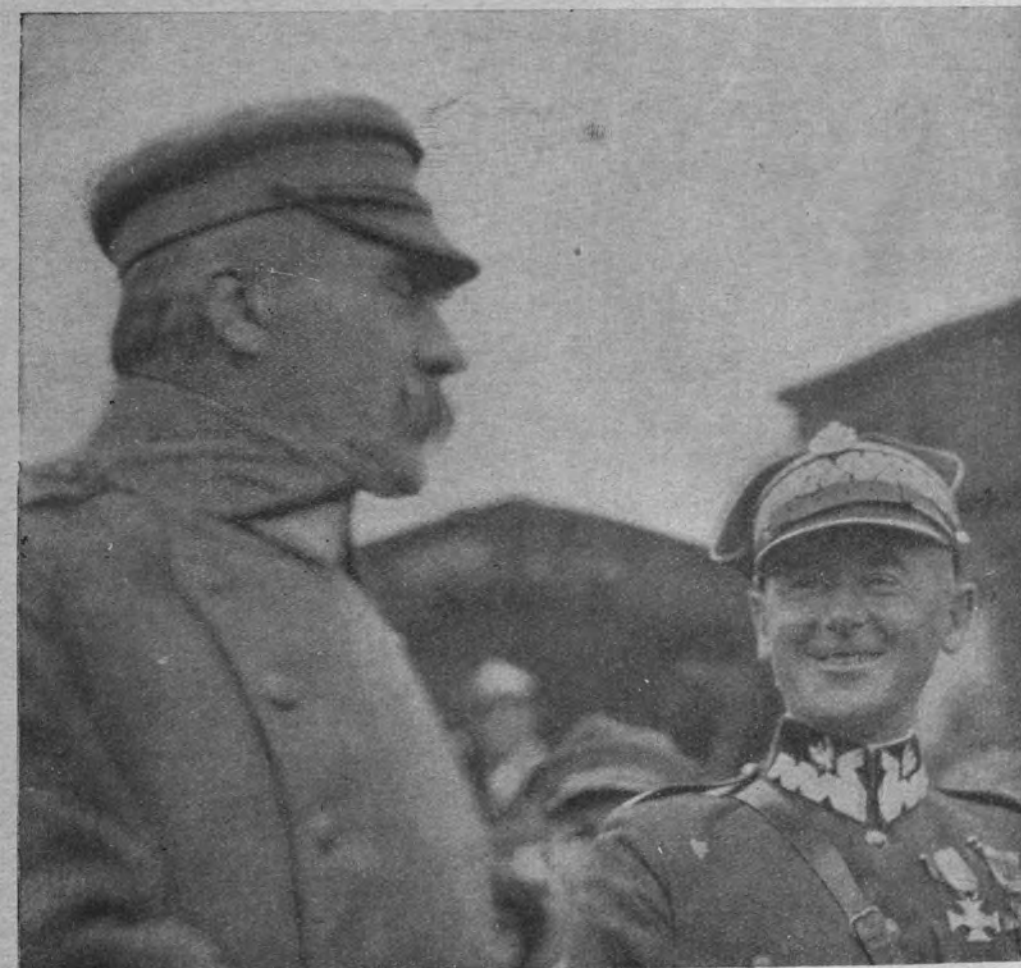
a) w wysokości 3 zł.

- 1) Dziubiński („w puszystym śniegu”)
- 2) Opyrchał („opl”)
- 3) Klus („którędy pójść”)
- 4) Frontczak („nad brzegiem Warty”)
- 5) Ołańczuk („włodzimierskie błoto”)

# PODCHORĄŻY

18 MARCA 1936 R.

ORGAN  
SZKÓŁ  
PODCHO  
RĄŻYCH  
NR. 12 (85)  
R O K V



ZWYCIĘSKI WÓDZ  
I JEGO NASTĘPCA





**19. III**

SAMOTNA ŁAWKA W PIKIELISZKACH, ULUBIONE MIEJSCE WYPOCZYNKU MARSZAŁKA.



**1936**

OPUSTOSZAŁ BIAŁY PAŁAC BELWEDERSKI, GDY NIE STAŁO WIELKIEGO MARSZAŁKA.



# W DNIU IMIENIN GENERALNEGO INSPEKTORA SIŁ ZBROJNYCH

*„Wyjątkowa sytuacja wojny wymaga wyjątkowej pracy — wyjątkowych wysiłków ludzi oraz wyjątkowych praw i ustaw. Wyjątkowe prawa pędzą ludzi do wyjątkowych wysiłków. Z tych praw i wysiłków wyrasta specjalne zjawisko wojny — wódz naczelny”.*

JÓZEF PIŁSUDSKI.

Wielki Marszałek powiedział: „Naczelny wódz musi do rachunków swoich wciągnąć siłę całego państwa, które reprezentuje na polu bitwy, musi siłę i jego słabości obliczać”.

To też człowiek, upatrzony na naczelnego wodza, już w czasie pokoju obejmuje swemi zainteresowaniami krąg bez porównania szerszy od samej siły zbrojnej. W przewidywaniach swych wychodzi on daleko poza ograniczone teatry wojenne — tak jak były one pojmowane jeszcze po wojnie światowej — oraz wgryza się w istotną treść nowożytnego państwa, ważąc na szali i przygotowując do przyszłych zadań wszystkie jego komórki żywotne. Wszak Komendant mówi wyraźnie „Zjawisko znane pod nazwą naczelnego wodza, jest zawsze ściśle związane z innym zjawiskiem, zjawiskiem wojny”.

To co Francuzi określają jako potencjał wojenny, streszcza się do stanu ogólnego i planowego przygotowania wszystkich możliwości państwa do wojny, do zespolenia wszystkich materialnych, duchowych i psychicznych sił narodu do walki. Te kapitalne zagadnienia są teraz tematem rozważań i dociekań we wszystkich krajach, myślących o zabezpieczeniu sobie przyszłości.

Umówmy się, że zespół wpływu i przenikania myśli i działań, związanych z całokształtem zagadnienia obrony narodowej, w życie narodu i aparat państwa nazwiemy „polityką obrony narodowej”. Musi ona objąć pełny kompleks zagadnień gospodarczo-finansowych, wychowawczych, komunikacyjnych, no i oczywiście polityki zagranicznej.

Organizacja przemysłu wojennego, przygotowanie organizmu gospodarczego do przejścia na pracę na rzecz wojny i zwycięstwa, zagadnienie samowystarczalności przemysłowo-rolniczej i surowcowej — oto jedna wielka grupa zagadnień.

Przemysłenie i przygotowanie sprawy organizacji sił i środków pracy na wypadek wojny oraz zagadnienie komunikacyjno-transportowe i łączności, to grupa druga.

Sprawa tężyzny i gotowości fizycznej i duchowej narodu — to trzeci zespół zainteresowań. A więc wpływ na kierunek wychowania wogóle, a na nale-

żyte postawienie tego, co określamy przysposobieniem wojskowym w szczególności.

Wreszcie sprawy polityki zagranicznej.

Obywatel nowoczesnego państwa odczuje już w czasie pokoju, że przewidująca myśl Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych w wielu wypadkach wkracza nawet w jego życie prywatne. Że wspominamy tylko o przygotowaniach obrony przeciw napadom z powietrza.

Wielki kompleks zagadnień gospodarczych wymaga nie tylko wpływu najwyższego czynnika wojskowego na ich należyty układ i przygotowanie wewnętrzne. Jest rzeczą konieczną, by świadomość własnych zasobów i możliwości wytwórczych, wobec przewidywanych konieczności wojennych, doprowadziła do zapewnienia zadośćuczynienia im, nawet poza organizmem wewnętrznym państwa. A więc zagwarantowanie sobie dopływu tych środków z zewnątrz. Szukanie państw „uzupełniających” i to możliwie na zasadach wzajemności. Przykład Mała Ententa — gdzie rolnicze Jugosławia i Rumunja (nafta) uzupełniają przemysłową Czechosłowację i odwrotnie.

Podobnie z nastawieniem pewnych kompleksów zagadnień finansowych. Przecież kraj rolniczy musi już w czasie pokoju wydawać pieniądze na uzupełnienie swego materiału wojennego z kraju przemysłowego. Ten zaś jest zwykle w o tyle lepszym położeniu, iż potrzeby jego wewnętrznej konsumpcji spożywczej występują w poważniejszej formie dopiero na wypadek i w czasie wojny.

Myślące na długiej fali organy finansowe państwa muszą to poważnie brać pod uwagę w swych przewidywaniach, planach i posunięciach.

Już tego rodzaju sprawy gospodarczo-finansowe, pod kątem widzenia polityki obrony narodowej, wkraczają w orbitę działania polityki zagranicznej, by wspólnie z nią szukać zbliżeń z odpowiednimi państwami.

Polityka zagraniczna zbiera swoje elementy — polityka obrony narodowej bada, czy dany organizm państwowy jest zdolny do odpowiedzi wymaganiom wojny nowoczesnej jako przyjaciel, wróg lub neutralny. Polityka zagraniczna nie może istnieć bez siły, jaką jest wojsko — a wojsko w polityce zagranicznej znajduje czynnik przestrzeni i czasu, czynnik stwarzania właściwych koniunktur i odpowiednich momentów. Polityka zagraniczna i zagadnienia obrony narodowej wiążą się z sobą nierozdzielnie, a w Rzeczypospolitej tworzą harmonijną i jednolitą całość...

Poruszyliśmy tu lapidarnym stylem szereg kapitalnych zagadnień łączności i wpływu „polityki obrony narodowej” na całokształt zjawisk, związanych z kierowaniem Państwa. *Uwypuklają one olbrzymie i decydujące znaczenie instytucji przyszłego naczelnego wodza już w czasie pokoju. Wszak Józef Piłsudski mówi, że jest to człowiek: „Który przygotowuje lub bierze na siebie najtrudniejsze zadanie — dowodzenia w czasie wojny”.*

Pamiętajmy, iż właśnie zwycięski Naczelny Wódz postawił u nas te zagadnienia i wykazał ich olbrzymią wagę.

\* \* \*

Ten wstęp zilustrował nam dobitnie ogrom zagadnień przed którymi stoi przyszły Naczelny Wódz — ogrom jego odpowiedzialnej pracy.

*„W wypróbowane ręce podpułkownika Śmigłego-Rydza oddaję komendę nad Wami, wiedząc iż otoczyć go tem samem zaufaniem i miłością, z jaką odnosiliście się do mnie” — pisał już w roku 1915 Komendant Piłsudski.*

Nie trzeba w Polsce tłumaczyć, kim jest generał Rydz-Śmigły, — następca Wodza Narodu i strażnik Jego testamentu. Wie o tem każdy, że w pracy wojennej Józefa Piłsudskiego był stale u Jego boku od pierwszego wystrzału do ostatniego. Był dowódcą pierwszego stworzonego przez Komendanta pułku Brygady. Gdy Wódza zabrakło, gdy Go przestrzenia i murami twierdzy oddzielono od wojska, z woli Jego stanął ówczesny pułkownik Rydz-Śmigły na czele podziemnej armji, P. O. W. sięgając poprzez ziemie polskie wszędzie, gdzie tworzony mógł być zbrojny polski wysiłek.

W godzinie zmartwychwstania, powracającemu z Magdeburga Wodzowi plk. Rydz-Śmigły pierwszy oddaje do dyspozycji przygotowane siły. Gdy zaś w chaosie przewalających się wydarzeń w ogniu bitewnym trzeba było wykreślać przyszłe granice odrodzonego Państwa, gen. Rydz-Śmigły otrzymuje najcięższe wojenne zadanie: dowodzi 1 dywizją Legjonów,

następnie armją, wreszcie frontem. Jego dziełem jest wyparcie wroga z Wilna w 1919 r. zdobycie Dźwińska, wyzwolenie dawnych Infantów, zdobycie Kijowa. W czasie odwrotu żołnierz pod Jego dowództwem nigdy nie czuje się pokonanym, nie traci zdolności bojowej, by stać się niezawodnym narzędziem Wodza dla odniesienia zupełnego triumfu polskiego oręża. Wreszcie pod okiem Wodza gen. Rydz-Śmigły kończy wojnę decydującą i ostateczną zwycięstwem nad Niemnem.

*„General Rydz-Śmigły rozwiązał swoje zadanie w sposób nadzwyczaj zręczny. Operacja jego i działania dwóch dywizji, 1-ej i 3-j stanowią jedną z najchlubniejszych kart, jakie armja polska posiada”* czytamy w dziele Marszałka „Rok 1920”.

Sledząc przebieg życia i służby gen. Rydza-Śmigłego widzimy wyraźną nić przewodnią: Zawsze na przedzie, zawsze w najtrudniejszym i najbardziej odpowiedzialnym zadaniu — zawsze zwycięski. Na rozkaz Wodza staje zawsze tam, gdzie za wszelką cenę trzeba rozstrzygające wywalczyć zwycięstwo.

Zawsze w pierwszym szeregu wielkiej i niekończącej się służby dla Polski. W dniach walki i pracy pokoju.

Sam żołnierz niezłomny żołnierskiej służby stał się wzorem. W najszlachetniejszym, w najbardziej twórczym i wychowawczym tego słowa znaczeniu. Dlatego z rąk Wodza przyjął skarb Jego najbardziej ukochany — kierownictwo siły zbrojnej Narodu. Dlatego stanął na czele tej służby, co się w blasku sztandarów sławą okrytych ciągle odbywa.

Wypróbowane to ręce, w które Marszałek nas oddał, wypróbowane, mocne, niezawodne, śmiałe i wiedzące.

Ręce, które zawsze wskazywały kierunek do zwycięstwa i drogę wielkości i potęgi Polski.

Pójdziemy za Nim wszędzie, karni, ufni, milujący...



General Dywizji Edward Rydz-Śmigły.



# STAN SŁUŻBY WOJENNEJ

Słoneczny i ciepły dzień 14 sierpnia 1914 roku. Nad Nidą przy trakcie z Kielc na Kraków wre bój. Od strony Kielc wysuwają się oddziały kawalerji rosyjskiej, brzegów południowych rzeki bronią strzelcy. Baon Wyrwy-Furgalskiego w linii, tuż za nim, za niewielkim skłonem wzgórza, zmęczony walkami w Kielcach — baon kadrowy. Nieco z boku od traktu kadrówka Piątka-Herwina, za nią druga kompanja Zosika-Tessaro i po przeciwnej stronie traktu trzecia Scaevoli-Wieczorkiewicza. Na linii strzelanina, wieści, iż obchodząc z boku, idą na nasze tyły oddziały huzarów rosyjskich. W tym momencie do bataljonu podchodzi grupka starszyzny strzeleckiej. Idący na jej czele oficer — to obywatel Rydz Śmigły Edward, nowy dowódca bataljonu kadrowego<sup>1)</sup>, przed wybuchem wojny komendant Okręgu Lwowskiego Związku Strzeleckiego.



Fragment z ćwiczeń Związku Strzeleckiego w 1912 r.  
Drugi z prawej gen. Rydz-Śmigły

Tygodnie minęły, skończyło się lato. Szara mglista i zimna jesień, zastała bataljony i pułku Legjonów Polskich w marszu na Dęblin. 22.X.1914 wysuwa się w kierunku fortów twierdzy dęblińskiej 46 dyw. austr., w której odwodzie idzie pułk 1 Legjonów. Na prawo zamiast dywizji sąsiedniej — pustka. W lasach nieprzyjaciel. Zadanie dla pułku: wysłać bataljon, który ubezpieczy dalszy ruch dywizji. Otrzymuje je mjr. Rydz-Śmigły, dowódca III bataljonu (kadrowego). Laski, Anielin i las koło tejże ostatniej wsi. Tam, idzie na tyły wojsk austriackich 10 pułk piechoty rosyjskiej. Sytuacja krytyczna. Przewaga wroga. Bataljon ma tylko dwie kompanje, trzecia dopiero w marszu. Decyzja momentalna. Natarcie — atak na bagnety. Nieprzyjaciel zaskoczony, cofa się. Wzmocniony odwodami idzie do przeciwuderzenia. Nowy atak III bataljonu. Wchodzi trzecia kompanja. Las grzmi od strzałów i „Hurra“. Moskale zatrzymani, podciągają dalsze odwody, bataljon ma duże straty. Jeszcze jeden atak na bagnety, potem zaginanie skrzydeł i obrona ogniem. W tyle widać już przednie oddziały opóźnionej dywizji austriackiej. Na czele 13 p. piech. z Krakowa — nowy szturm — sytuacja uratowana.

Brzechów, 1.XI. Przed zwartym frontem bataljonu, Jego dowódca odczytuje rozkaz Komendanta Głównego Józefa Piłsudskiego:

„Dawno już, bo prawie wiek temu żołnierz polski brał udział w wielkich bojach, stanowiących o losach państw i narodów...

<sup>1)</sup> Dotychczas baon kadrowy nie miał stałego dowódcy. Przejściowo dowodzili nim szef Sosnkowski (taktycznie) i przez parę godzin ob. Zbigniew Kasprzycki.

...Wam żołnierze, przypadło w udziale odnowić tradycję dawnych walk i stanąć znów w wielkich bojach historycznego znaczenia, by reprezentować oręż polski...

...Dziękuję I i III bataljonom w imieniu sprawy, której wszyscy służyliśmy, za ten dzień chwały. Z dumą patrzyłem na spokój i pewność siebie, z którymi oba bataljony poszły w ogień...<sup>1)</sup>

Zima 1914 roku. Grudzień. Na linii wojsk austriackich walczących pod Tarnowem katastrofa. Załamało się ich natarcie. Nieprzyjaciel odnosi sukcesy. Katastrofa. Pękła linja pod Łowczówkiem. Zerwana styczność między dwiema armjami. Wokół popłoch, widmo klęski nieuniknionej. Rozkazy armji do cofania się za szare nurty Dunajca. Do bitwy wchodzi ostatni odwód, będący pod ręką — I Brygada Legjonów Polskich. Zadanie — przeciwnacie- rać, odbić coty 360 i 342, związać skrzydła obu armij. Zadanie przeciwnatarcia na 360 otrzymuje Pułk I-szy Legjonów Polskich mjr. Rydza-Śmigłego, jego bataljony: I kpt. Kuby-Bojarskiego, II kpt. Piątka-Herwina i III por. Burhardta-Bukackiego. III oskrzydła, II idzie w natarciu frontalnym, I w odwodzie — zwycięstwo, cota zdobyta, 320 jeńców. W rozsypce, zбитy i zdemoralizowany cofa się 132 benderski pułk piechoty rosyjskiej. Potem obrona przez szereg dni.

<sup>1)</sup> T. Kasprzycki gen. bryg. „Kartki z dziennika I Brygady”.

Pochylony nad stołem, często zastanawiając się i do obok położonych raportów bojowych zaglądając, pisze rozkaz swój Komendant Główny:



Komendant J. Piłsudski na inspekcji w 1 p. p. w marcu 1915 r.  
Pierwszy z lewej — E. Rydz-Śmigły

...Żołnierze!

...Pięć miesięcy mija od czasu, gdy krwią własną i odwiecznego wroga znacząco istnienie w Ojczyźnie polskiego żołnierza...

...W imieniu sprawy, której służyliśmy, dziękuję Wam wszystkim za tę pracę. Jestem dumny towarzysze broni, że Wami przewodzę, jestem dumny z kłopotu, że gdy mam w rozkazie dziennym wymienić najbardziej godnych pochwały, szukać muszę czegoś nadzwyczajnego, by wśród ogółu dzielnych, mężnych, znaleźć czyny, które nie będą dla nich powszedniościami...<sup>1)</sup>

Minęło dalszych parę miesięcy. Rozkwitła wiosna, słońce ciepłymi promieniami zalało obudzoną do nowego życia naturę. Maj 1915 roku. Konary. Znajdująca się w odwodzie austriackiej dywizji — I Brygada Legjonów Polskich, porwana na kawalki, bataljonami rzucona do boju — skrwawiła się niepomierne, broniąc pozycji, przeciwnacierając czy też w chwilowych odwrotach osłaniając cofających się sąsiadów.

„Kilkudniowe nasze boje pod Konarami były dla nas dotkliwe nie tylko ze względu na mnogość strat kolejnych, lecz i dlatego, że

<sup>1)</sup> J. Piłsudski: „Pisma, Mowy, Rozkazy” Tom IV.

aniśmy walczyli złączeni ramię przy ramieniu, ani też wyniki boju nie mogły cieszyć serca żołnierskiego...

Pisał Komendant po skończonej bitwie:

...Najcięższe i najprzykrzejsze zadanie spadło na baony III i V, które stanęły na najbardziej zagrożonym terenie. Z dumą podnieść muszę zachowanie się wypróbowanego III bataljonu, który w ciężkim boju i chaosie przez czas pewien był jedyną zwartą grupą na szerokim froncie. Trzeci bataljon w najcięższych moralnie warunkach zachował się po bohater-sku, znacząc obficie każdy krok swój krwią własną i wroga. Rozkazem niniejszym wyrażam wszystkim oficerom i żołnierzom tego bataljonu głęboką wdzięczność w imieniu całego oddziału za dowód, że w najcięższych warunkach żołnierz polski jeżeli nie może wygrać boju, to honoru swego bronić potrafi...

...Majorowi<sup>2)</sup> przedewszystkiem przypisuję, że III bataljon nie ugiął się przy spełnieniu zadania przewyższającego znacznie siły moralne przeciętnego żołnierza...<sup>3)</sup>

Tarłów 2.VII. 1915. Natarcie na bardzo silnie umocnione pozycje rosyjskiego przedmościa pod Józefowem. Grupa nacierająca dowodzi dowódca 1 pułku piechoty Legjonów Polskich. Idą do szturm bataljony III kpt. Scaevoli-Wieczorkiewicza i I kpt. Burhardta-Bukackiego. Na skrzydle osłania je pułk 5 piechoty Legjonów Polskich. Godzina 1,15. Szturm. Trzaskają przeszkody, hurra, ostatnie strzały obrońców reduty tarłowskiej — pozycja zdobyta.

Minęło już wiele miesięcy. Minęło wiele bo- jów ciężkich i krwawych. Nadeszły chwile cięższe.

Wrzesień 1915 roku. Brygada zapędzona w po- ścigu wielkiej ofensywy letniej, znalazła się na te- renie kowelszczyzny, gdzie ją dotknęła klęska naj- cięższa. Rozdzielono ją. Wyrwano z jej składu jeden pułk piechoty, wyrwano jej przedewszystkiem Komendanta Głównego, który poszedł na czele sła- bej grupy, bić się zdala od swej brygady. Nie było też szefa Sosnkowskiego, który odszedł na rozkaz Komendanta na tyły, sprawdzać siły bojowe Pol- skiej organizacji Wojskowej w Kongresówce.

Odchodząc z brygady, Komendant zdał jej do- wództwo 16.IX. ppłk. Rydzowi-Śmigłemu.

Nadeszły chwile ciężkie. Nad Styrem w końcu września — Rosjanie przechodzą do kontrofensywy. Odrzuceni, łamią w połowie października w nowem

<sup>2)</sup> Mowa o mjr. Rydzu-Śmigłym.

<sup>3)</sup> J. Piłsudski: „Pisma, Mowy, Rozkazy” Tom IV.



uderzeniu front niemiecko-austriacki pod Czartoryskiem. Rozerwanych skrzydeł nie można powiązać. Ostatni ratunek to Legjony Polskie. Poszarpane i wymęczone oddziały I Brygady i 6 pułk piechoty, ruszają do przeciwnatarcia. Jabłonka — ośrodek luki — musi być zdobytą. Zadanie to otrzymuje I Brygada, ze skrzydła ma uderzyć pułk 6. Przed nimi oddziały żelaznej 4 dywizji strzelców rosyjskich z Odesy. Łamią się w natarciach dzielni szóstacy, wyczerpani parokrotnymi szturmami, czekają na I Brygadę. Do szturm idzie I bataljon 1 pułku piechoty. Jabłonka zdobytą. Potem VI bataljon 3 pułku I Brygady zdobywa Kukle, wreszcie Kamienicę. Dowódca grupy operacyjnej wojsk niemieckich v. Gerrock szaleje z radości. Rozkazy pełne pochwał dla dzielności żołnierza polskiego idą w dal, czytają je szeregi wojsk niemieckich, docierają do A. O. K., czy też O. H. L. niemieckiego.

Jesień 1916 r. Pozycje nad Stochodem. W sławę bojową brygady wplecione nowe bitwy i boje. Kostiuchnowka, Wielka Miedwieża, Koszyszcze, Stawohoró, pozycje pod Optową-Kostiuchnowką i najkrwawszy bój Legjonów Polskich pod tą ostatnią miejscowością. Odwrót nad Stochód i jego obrona. Nie cieszą już żołnierzy te boje i sława jaka ich otacza. W szeregach rozpacz. Odszedł już bezpowrotnie z brygady jej Komendant Główny Odszedł by rozegrać bój najcięższy, swą dymisją zmusić mocarstwa sprzymierzone do wypowiedzenia się w spra-



Major Rydz-Śmigły.

wie Polski. Odszedł również szef Sosnkowski. Brygadę rozdzielono. Oczy wszystkich zwróciły się w kierunku płk. Rydza-Śmigłego, który pozostał na miejscu jako zastępca Komendanta, by bronić Jego idei i Jego żołnierzy prowadzić w dalszych zmaganiach „na wielu już frontach“.

„Kochany Pułkowniku, ufając głęboko Waszemu taktowi, który tak wysoko zawsze cenilem, zwracam się do Was, abyście zechcieli wśród wojska być rzecznikiem mych uczuć i wyrazicielem mego zdania w tej sprawie...“

Pisał Komendant do płk. Rydza-Śmigłego w dniu 5.XI 1916 r.<sup>1)</sup>

Lato 1917 r. Sprawa przysięgi. Aresztowanie Komendanta i szefa Sosnkowskiego. Internowanie legjonistów b. poddanych rosyjskich w Szczypiornie i Benjaminowie.

Główna Komenda Polskiej Organizacji Wojskowej. Naczelne Komendy w Warszawie, Lublinie, Kijowie, Krakowie. Organizacja obejmująca swemi oddziałami całą Polskę, docierająca do dalekiej Moskwy i Odesy, na Syberję i do Włoch. Cel jej to Polska Niepodległa. Wróg to Niemcy i Austriacy. Moskal już powalony. Jej Komendant Główny w Magdeburgu — Jego zastępca płk. Rydz-Śmigły.

Polska Niepodległa. Na jej czele Józef Piłsudski, Naczelnik Państwa i Wódz Naczelny. Przy jego boku starzy jego towarzysze z walk Legjonów Polskich. Nie brak nikogo. Przybyli nowi. Każdy dostał swe zadanie do wykonania.

Kwiecień 1919 r. Wyprawa na Wilno. Dowodzi Wódz Naczelny. Na przedzie idzie kawalerja Beliny-Prażmowskiego, za nią, brodząc w błotach rozkwitającej wiosny — posuwa się Idywizja piechoty Legjonów gen. Rydza-Śmigłego. W jej składzie pułki piechoty 1, 5, 6 legjonowe. 19.IV Wilno zdobyte, wzięła je kawalerja, wsparta piechotą. Zadanie dalszego odrzucenia wroga, jak i utrzymania Wilna utrzymuje grupa gen. Rydza-Śmigłego. Walki ciężkie. Oddziały sowieckie prą w kierunku miasta, chcą go odebrać za wszelką cenę. Nadchodzą im coraz to nowsze posiłki. Rezultat ostateczny — wróg pobity, odrzucony, szmat ziemi wileńskiej oczyszczony i utrzymany.

W rozkazie z dnia 28.IV 1919, Wódz Naczelny między innymi dziękuje:

<sup>1)</sup> J. Piłsudski „Pisma mowy Rozkazy“. Tom V.

„Generałowi Rydzowi-Śmigłemu, który pomimo wielkich przeszkód technicznych, doprowadził na czas dywizję do Wilna i ostatecznie wygnał wroga ze stolicy“<sup>2)</sup>...

Zima 1919/1920. Łotwa w niezwykle ciężkich bojach, otoczona z dwóch stron przez nieprzyjaciół, walczy o swą niepodległość. Na pomoc jej Wódz Naczelny wyznacza oddziały polskie. Idzie grupa operacyjna gen. Rydza-Śmigłego, w składzie dwóch dywizji piechoty legjonowej: 1-szej i 3-ciej. Walki rozpoczęte zdobyciem Dyneburga w dniu 3.I, zostały zakończone zupełnym odrzuceniem nieprzyjaciela aż za linię jeziora Osweji. Akcja ta, to zakończenie wielkich działań na północy Polski, gdzie po nawiązaniu bezpośredniego kontaktu z wojskami łotewskimi, dzięki udzielonej im pomocy, front przeciwsowiecki został wyrównany,

Kwiecień 1920 roku. Wiadomości uzyskane przez nasze Naczelne Dowództwo wskazywały najwyraźniej iż Sowiety po zwycięskim zakończeniu swych rozgrywek z armjami kontrrewolucyjnymi, postanowiły skierować główny wysiłek w kierunku Polski, by przez jej pobicie, ponieść żagiew ogólnej światowej rewolucji na zachód. Naczelny Wódz postanowił uprzedzić uderzenie wroga i sam przejść do ofensywy.

Rozbić wroga w okresie jego koncentracji na Ukrainie, umożliwić odbudowę Ukrainy — oto cele. Wśród jednostek przeznaczonych do ofensywy, stają również oddziały gen. Rydza-Śmigłego. Im to przypada honor walczyć w 3 armji dowodzonej osobiście przez Naczelnego Wodza. Zdobyte Żytomierz — to ich dzieło. Później po odjeździe Naczelnego Wodza, nowa 3-cia armja gen. Rydza-Śmigłego, uderza dalej na wschód, zdobywa 8 maja Kijów i broni go.

Nadchodzą jednak chwile ciężkie. Na północy nieprzyjaciół uderza, na południu zjawia się armja konna Budinnego i wykorzystując moment w którym działające na Ukrainie armje polskie były związane natarciem 12 i 14 armji sowieckich, przerywa się na tyły polskie, gdzie dezorganizuje dowodzenie i zaopatrzenie. Następuje pościg za Budiennym, by go otoczyć lub wyrzucić przed swój front. Idzie za nim 6 armja. Dowódca 3-ej natomiast postanawia bronić się czynnie w rejonie Kijowa, mimo iż został otoczony już dookoła, związać siły sowieckie i umo-

<sup>2)</sup> J. Piłsudski „Mowy Pisma i Rozkazy“. Tom V.



Pułk. Rydz-Śmigły jako dowódca 1 pułku legjonów 1 brygady

żliwić akcję 6 armji. Odszedł później przebijając się z Kijowa na rozkaz Naczelnego Wodza.

Lipiec 1920 roku. Sytuacja bardzo ciężka. Na północy nieprzyjaciół w pościgu za armjami polskimi przekroczył już Narew — na południu działające tam armje 3-cia gen. Rydza-Śmigłego, 2-ga gen. Raszewskiego i 6-ta gen. Iwaszkiewicza stały już na linii Łucka — Brodów i Zbrucza.

W tej sytuacji Naczelny Wódz postanowił iż  
...1) front północny wygrywa tylko czas  
2) w kraju energiczne przygotowanie rezerw...

3) skończenie z Budiennym i ściągnięcie z południa większych sił dla kontrataku, który planowałem z okolic Brześcia<sup>1)</sup>.

W ostatnich więc dniach lipca front południowo-wschodni pod dowództwem gen. Rydza-Śmigłego (3-cia armja gen. Zielińskiego, 2-ga gen. Raszew-

<sup>1)</sup> J. Piłsudski Mowy Pisma Rozkazy Tom VII, str 157/158.



skiego i 6-a gen. Iwaszkiewicza), miał ostatecznierozbić armję konną Budiennego, by potem oddać swe siły dla kontrofensywy na północy.

Walki te zostały zakończone w pierwszych dniach sierpnia pobiciem Budiennego i odrzuceniem go, a co zatem idzie mogły odejść na front północny, potrzebne tam siły.

Sierpień 1920 roku. Kontrofensywa z pod Brześcia odpadła, wskutek upadku tejże miejscowości. Rozkazem z dnia 6 sierpnia, Naczelny Wódz zarządził nową kontrofensywę, która w tym razem miała wyjść z rejonu rzeki Wieprza (jej dolny bieg). Bezpośrednie kierownictwo objął Wódz Naczelny.

Wrzesień 1920. Nieprzyjaciel pobity pod Warszawą w wyniku kontrofensywy z nad Wieprza, oparł się nad Niemnem i pod Wołkowyskiem, by po uzupełnieniu swych sił, ruszyć do ponownej ofensywy. Ubiec go miała ofensywa polska. Stały tam dwie armje pod osobistym dowództwem Naczelnego Wodza: Na prawo 4-ta gen. Skierskiego i na lewo 2-ga gen. Rydza-Śmigłego. Zadanie 2-giej armji: Uderzenie z frontu i manewr na skrzydło. Manewr przez terytorjum Suwalszczyzny, gdzie stały oddziały litewskie, potem na głębokich tyłach nieprzyjaciela uderzenie na Lidę. Z frontu zdobycie Grodna i Mostów.

W wykonaniu tegoż zadania — nastąpiła kłosańska klęska sowieckich armij i w rezultacie po energicznym pościgu — zawieszenie broni.

Rok 1921. Wojna za kończona zwycięsko.



Gen. Rydz-Śmigły w r. 1919.

Naczelne  
Dowództwo W. P.  
Belweder  
dn. 14.X.1920.

Żołnierze!

...Nie na próżno i nie na marne poszedł Wasz trud...

...Za pracę i wytrwałość, za ofiarę i krew, za odwagę i śmiałość dziękuję Wam, żołnierze, w imieniu całego Narodu i Ojczyzny naszej...

...Żołnierze! Zrobiliście Polskę mocną, pewną siebie i swobodną. Możecie być dumni i zadowoleni ze spełnienia swego obowiązku. Kraj, co w dwa lata potrafił wytworzyć takiego żoł-

nierza, jakim Wy jesteście, może spokojnie patrzeć w przyszłość.

Dziękuję Wam raz jeszcze.

(—) Józef Piłsudski

Pierwszy Marszałek Polski i Naczelny Wódz <sup>1)</sup>

D-two 2-iej Armji.

Główna poczta polowa Nr. II  
dn. 17.X.1920.

Rozkaz.

...2-ga armja spełniła zadanie dane jej przez Naczelnego Wodza, spełniła wiernie swój obowiązek względem Narodu.

Stwierdził to Naczelny Wódz — stwierdził Naród.

(—) Śmigły-Rydz

generał-porucznik i dowódca armji <sup>2)</sup>

<sup>1)</sup> J. Piłsudski „Pisma, Mowy, Rozkazy”, Tom VI.

<sup>2)</sup> T. Kutrzeba, płk. szt. gen. „Bitwa nad Niemnem”, str. 313.



## NACZELNY WÓDZ

„Najcięższą pracą duszy, najcięższym obowiązkiem, jaki na człowieka spaść może, jest naczelne dowodzenie”.

Przykłady z naszej historii, z okresu powstania listopadowego i porównanie ich wymownej treści z niedawnym okresem walk o Niepodległość i jej utrzymanie wykazały mocnym kontrastem jak wielką i decydującą rolę posiada w prowadzeniu wojny naczelny wódz, jego talent, indywidualność, charakter, decydywność, silna wola. W dobie dzisiejszej, w czasie wojny na barki wodza naczelnego spada odpowiedzialność nie tylko za przebieg działań na linii ognia frontowego, lecz dźwiga on również brzemie pełnej odpowiedzialności za losy państwa i za jego sytuację wewnętrzną.

W tych warunkach wódz musi umieć sprostać tym wielkim i wszechstronnym zadaniom, musi mieć nerwy ze stali, żelazną wolę i śmiałość rozstrzygnięć. Musi mieć jeszcze wielki kapitał moralnego zaufania armji i społeczeństwa. Bezpowrotnie bowiem minęły czasy, kiedy stany liczbowe armij ustalano ilością „szabel bagnetów i dział”. Dziś niezależnie od stanu wyposażenia technicznego na pierwszy plan wysuwa się zagadnienie żołnierza, jego wyrobienia obywatelskiego, nastroju i siły moralnej. Również nieobojętne są nastroje ogółu społeczeństwa, gdyż dziś wojna to nie tylko zmaganie się na pewnych odcinkach nieprzyjacielskich wojsk, lecz także wojna całych narodów. I z tych względów żołnierz powinien mieć do osoby wodza głębokie i szczerze przywiązanie, a społeczeństwo — pełne zaufanie.

„Mus naczelnego wodza jest dowodzić, a dowodzić, to znaczy rozkazywać”. Naczelny wódz musi mieć pełną swobodę w dowodzeniu i bezwzględny posłuch dla swych rozkazów, co tylko gwarantuje osiągnięcie zamierzonych przez niego wyników dzia-

łań wojennych. Dowodzenie na wojnie jest jednak czemś diametralnie różnym od jakiegokolwiek dowodzenia w innych warunkach. Ceną jego jest bowiem życie ludzkie, a nad każdym rozkazem wojennym unosi się widmo śmierci, w treści jego jest ukryte żądanie śmierci. I dlatego więź psychiczna łącząca żołnierza z wodzem jest ważnym elementem w prowadzeniu wojny; żołnierz łatwo i chętnie szafuje swem życiem i krwią, jeśli ma do osoby wodza bezwzględne wewnętrzne zaufanie i przywiązanie. Z głębokiego wycucia tej prawdy wojennej wynika powiedzenie Marszałka Piłsudskiego, „że ten tylko dobrym jest wodzem, który, po życie ludzkie sięgając, sięga do głębi duszy i żądając, by żołnierz dał duszę, sam żołnierzowi daje duszę”.

„Jedną z najważniejszych rzeczy dla wojny jest stan moralny społeczeństwa. Nieraz dla jego podniesienia zmuszano naczelną wodzów do zwycięstw wbrew rozumowi... W rękach naczelnego wodza spoczywają losy państwa. Więc wpływ jego na państwo jest tak silny, że w największych sytuacjach nawet najdemokratyczniejsze państwo — Rzym — oddawało bezgra-

niczną władzę w ręce jednego człowieka, by nie było żadnych tarć w sprawach wojny. Bez względu na sympatje ludzkie, na mądrość, na zdolności — musi on wpływać na istotę państwa”.

„Wszelkie jego prace są związane z wyjątkowym stanem podczas wojny, dotykającym wszystkich absolutnie, czy chcą czy nie chcą, i na których spadają wszystkie wyjątkowe prawa, rządzące wówczas ludźmi. Zgodnie z tem, każdy naczelny wódz podczas wojny staje się jak gdyby ogniskiem wszystkich oczu, wszystkich ciekawości, bez względu na to, czy wrogów, czy przyjaciół. Jest on stale przedmiotem rozmów i przedmiotem powszechnego zainteresowania. Każdy jakgdyby czuje, że od nie-



Naczelny Wódz



go najbardziej zależy zwycięstwo, od niego zależy przebieg wyjątkowych praw. Naczelny wódz jest człowiekiem, który nerwy swoje nazewnątrz otwarte nosić musi i każde oko, każda ciekawość, każde pytanie i każde zjawisko wojny o jego nerwy zaczepia i na tych nerwach czy wróg, czy przyjaciel, każdą nutę wygrywa, jak na swojej własnej lutni. Jest on wtedy publiczną własnością. Dlatego też niema człowieka bardziej narażonego na zepsucie nerwów, niż naczelny wódz. Jeżeli ludziom ciężko zdobywać się na decyzję i na postanowienia, związane nawet z ich prywatnym losem, to jakąż dopiero męką są decyzje o losie tysięcy ludzi, decyzje, które podejmować musi naczelny wódz w każdej chwili“.

„Dowodzenie jest rozkazywaniem; rozkaz jest aktem dowodzenia. Przed daniem rozkazu trzeba mieć decyzję, a praca psychiczna, która daje decyzję, jest jednym z najważniejszych procesów, gdyż jest robiona w niebezpieczeństwie, w niepewności, w ciągłym wikłaniu się w sprzecznościach“.

„Wódz każdy wszystkie wątpliwości zdusić w sobie musi i zachować je tylko dla siebie, a dać innym pewność siebie, siłę wytrwania w najcięższych chwilach“.

„Dobry wódz musi umieć imponować ludziom, musi ludzi porywać; gdy tego nie umie — nie potrafi być dobrym wodzem. Bez tej wewnętrznej cechy, która daje moc rozkazodawstwa, nie sięgnie on nigdy tak daleko do wnętrza duszy ludzkiej, by żądać śmiało posłuszeństwa aż do śmierci“.

„Naczelny wódz musi do rachunków swoich wciągać siłę całego państwa, które reprezentuje na polach bitwy, musi siłę i jego słabości obliczać.“

Najcięższym rachunkiem wodzów to mierzenie stanu moralnego całego kraju. Ilu nieszczęsnych wodzów przegrało wojnę, gdy wbrew swemu sumieniu i zimnym rachubom musieli starać się o osiągnięcie zwycięstwa, by wydobyć efekty i nie mi umysły i serca zaspokoić. Lecz naczelny wódz musi wciągać ustawianie w swój rachunek i inne państwo — to, z którym wojuje. Musi wyszukiwać dla odniesienia zwycięstwa słabości innych państw, by w ich słabe miejsca uderzyć. Musi wynajdywać odpowiednie momenty, gdy państwo, z którym wojnę prowadzi, słabnie, by w ten sposób wymuszać zwycięstwo“.

Naczelny wódz dźwiga na swych barkach w czasie wojny wyjątkowo ciężkie brzemie odpowiedzialności, „tej męki, którą człowiek jeden znosić musi, gdy ma na swoich barkach pracę wojenną, pracę wymuszania na nieprzyjacielu zwycięstwa. Albowiem wojna jest zjawiskiem, przy którym, w ostatecznym rachunku, nie gdzieindziej ważą się losy narodu i państw, jak tam, gdzie naczelny wódz działa. Gdy w historii będziemy liczyli państwa,

które upadły, państwa, które zniknęły, to znajdziemy zawsze, jako ostateczny powód ich upadku, przegrane wojny.

Gdy będziemy obserwowali większe przewroty, których państwa zaznały, znajdziemy zawsze jako przyczynę ich — zjawiska wojny. Od przegranej lub wygranej wreszcie na polach bitwy zależą nietylko tak wielkie rzeczy, jak państwo, lecz gabinety, ministrowie i rządy“.

Współpraca naczelnego wodza z rządem jest w czasie wojny zagadnieniem wielkiej doniosłości i musi być utrzymana w takich formach, aby rząd nie usiłował dowodzić obok wodza, aby nie mieszał się do kwestyj ściśle taktycznych i wojskowych. Próby podobnych „interwencji“ rządów, jakie miały miejsce w rozmaitych państwach w czasie Wielkiej Wojny dawały zawsze rezultaty jaknajbardziej ujemne. Dlatego też formalnie nawet, poza współpracą z rządem w innych dziedzinach, wódz musi mieć zastrzeżoną pełną samodzielność w aktach dowodzenia. Przy swej ciężkiej pracy wojennej musi być wolny od konieczności ciągłych utarczek wewnętrznych o obronę słuszności swoich koncepcyj wojennych. Zwłaszcza, że poza funkcją dowodzenia, naczelny wódz jest jedynym pewnym i stałym czynnikiem, dokoła którego grupuje się pełne zaufanie wstrząśniętego akcją wojenną społeczeństwa. Wielkości jego autorytetu ma więc znaczenie nie tylko dla armji, lecz i dla ludności cywilnej, co w znacznym stopniu ułatwia mu prowadzenie wojny.

Charakteryzuje to również wyraźnie Wielki Marszałek, którego słowa cytujemy tu tak obficie, bo któż lepiej od Niego poznał najtrudniejsze warunki pracy dowodzenia, któż lepiej umiał połączyć ze słowem wódz, przymiotnik „zwycięski“. „Kaźda wojna nasuwa wszystkim tyle wątpliwości i tyle trwogi, że olbrzymia większość ludzi staje w razie jej nadejścia w pewnej bezradności i w poczuciu bezsilności w stosunku do wielkości zagadnienia. W takim stanie, jak przy każdym wielkiem wstrząśnięciu, ludzie, wiednie i bezwiednie, poszukują człowieka lub niewielkiej ilości ludzi, którym, słusznie czy niesłusznie, przypisują siłę i ciężką ducha oraz zdolność i umiejętność, przewyższającą przeciętną miarę danego narodu czy obywateli państwa“.

Poza ścisłą pracą dowodzenia naczelny wódz musi się troszczyć o cały szereg elementów niedozownych w prowadzeniu wojny jak np. przemysł i jego wydajność, stan gospodarczy kraju, organizacja zaopatrzenia, dostateczny stan środków żywienia i t. p., gdyż są to zagadnienia integralnie związane z prowadzoną wojną i od ich właściwego rozwiązania zależy może poważnie ukształtowanie się linii walczącego frontu. Mówi o tem również Marszałek: „...Z pracą naczelnego wodza, jako prowadzącego wojska do zwycięstwa, związane są

prace codzienne całego społeczeństwa. Wybrałem za przykład konia, przy rozdziale bowiem w czasie wojny pokojowego materiału końskiego, musi naczelny wódz w rachunku mieć na względzie i potrzeby wojska walczącego na froncie i jego bazy — całego kraju. Tak samo tysiące innych rzeczy musi dzielić w czasie wojny wódz naczelny pomiędzy kraj i armję“.

Pod kątem widzenia potrzeb przyszłej wojny muszą być czynione do niej przygotowania w okresie pokoju. Dotyczy to zarówno przygotowań technicznych, gospodarczych, jak i wyszkoleniowych. Poza pracą sztabów musi być również przygotowany do wojny, ten, kto będzie ją prowadził, jako naczelny wódz.

Sprawę tę miał zawsze na uwadze Wielki Marszałek, który chyba miał z wielu wodzów naczelnych, pod każdym względem najcięższe warunki dowodzenia i doprawdy, nadludzkiej trzeba było mocy aby zwyciężyć w tych okolicznościach nie tylko wroga, ale te trudy psychiczne, te intrygi i zawiści polityczne, nie mówiąc już o brakach technicznych młodej armji polskiej. Krzyżowa droga Marszałka, jako Zwycięskiego wodza Naczelnego dała mu nadmiar wszechstronnych, choć często,



Gen. Rydz-Śmigły w holdzie pamięci Wielkiego Marszałka na Sowińcu.

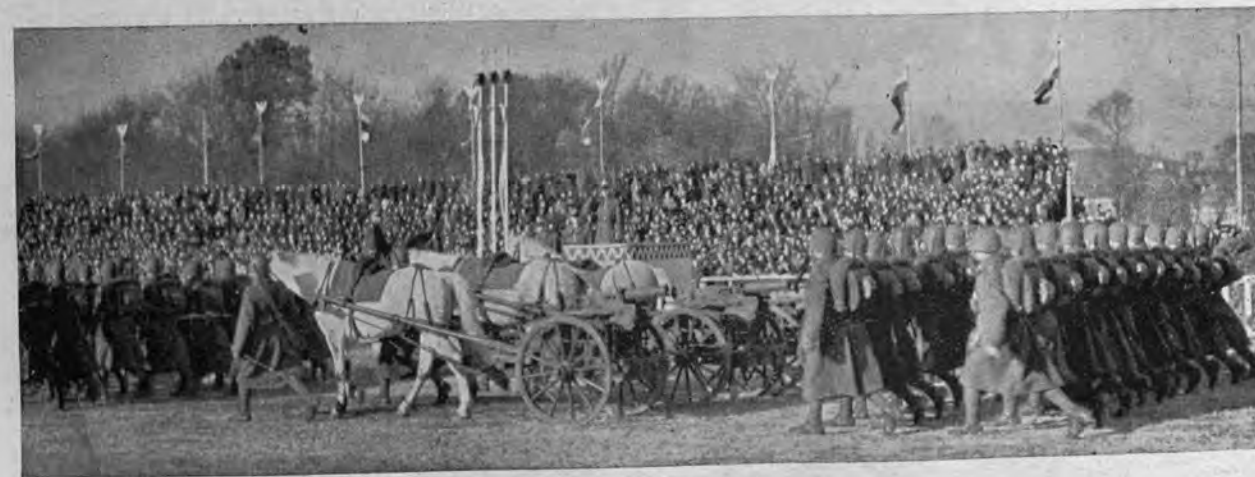
jakże gorzkich doświadczeń.

To też zarówno wówczas, kiedy usunął się w zacisze Sulejówka, jak i wówczas kiedy znów stanął u steru spraw państwowych troszczył się o należyte zorganizowanie naczelných władz wojskowych i osiągnął to przez utworzenie stanowiska Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych, jako generała przewidzianego na wypadek wojny na naczelnego wodza.

Rolę jego określił Marszałek w sposób następujący: „Wojsko wówczas jedynie nie znajduje się w sytuacji fałszywej, jeśli ma wyobraziciela swojej służby i istotnego swojego przeznaczenia jedynie jako siły zbrojnej państwa dla obrony całości i niepodległości.“

Wyobrazicielem takim musi być oficer, który sam siebie i grono innych wyższych i niższych oficerów przygotowuje na wypadek takiego konfliktu zewnętrznego.

Oficer ten bierze w ten sposób na siebie najcięższy obowiązek, jaki wogóle spaść na oficera może, i z tego powodu powinien mieć prawo wywierania nacisku na mnie, jako ministra spraw wojskowych, we wszystkich kwestiach, związanych z obroną państwa. Oficer ten powinien być postawiony w wojsku tak, by był przez każdego żołnierza uważany za najwyższego żołnierza w armji.



Armja defiluje przed Wodzem



## W KILKU WIERSZACH

Na Litwie nastąpił ostatnio szybki stosunkowo rozwój szybownictwa. Wpływa na to, jak i w innych krajach kryzys, który uniemożliwia budowanie większych kosztownych samolotów. To też litewski Aeroklub rozwinął szeroką akcję zmierzającą do postawienia szybownictwa na odpowiednim poziomie. W tym celu w miejscowości Ridden, będącej idealnym terenem dla lotów powstała w 1933 r. Szkoła Pilotów Szybowcowych. Szkoła rozwija się szybko i w okresie od 15.V. — 1.X. ukończyło kurs 34 lotników kat. A, 24 — kat. B i 18 kat. C. W tym czasie w szkole przeprowadzono 1830 lotów. Charakterystyczne jest, że w Szkole studują również członkowie aeroklubów lotewskiego i estońskiego. Pierwszy rekord długości lotu ustanowił por. Heindriks — 14 godzin lotu. Jak informuje prasa niemiecka Litwini zwrócili się ostatnio za pośrednictwem jednego z państw bałtyckich do polskich konstruktorów szybowcowych z propozycją nabycia licencji na polski samolot dwuosobowy.

W dn. 6.I. b. r. w Wilhelmshafen odbyło się spuszczenie na wodę nowego niemieckiego pancernika „Admirał Graf Spee”. Jest to okręt z typu t. zw. niemieckiej klasy 10.000-tonowy, t. j. maksymalnej wielkości na jaką zezwala Niemcom traktat wersalski. „Admirał hr. Spee” jest już trzecim okrętem niemieckim tego typu. Następne okręty mają być znacznie większe. Już w zeszłym roku rozpoczęto budowę 2 jednostek ok. 26.000-tonowych uzbrojonych w działa kal. 28 cm. Pozatem Niemcy mogą jeszcze wybudować okręty do 100.000 tonn, t. j. do osiągnięcia górnej granicy 183.000 tonn, określonej w drodze porozumienia morskiego z Anglią. Znajdujące się w budowie 26.000 ton. okręty rywalizują z nowobudowanymi okrętami francuskimi podobnej wielkości. Główny okręt angielskiej floty śródziemnomorskiej „Hood” posiada 46.200 tonn i armaty kal. 38 cm.

Włoska flota wojenna otrzymuje wkrótce 6 nowych łodzi podwodnych typu 615 („Astora”, „Spica”, „Climene”, „Catania”, „Perseo”, „Sirio”). Łodzie te, wyposażone są w motory 19.000 H. P. i osiągają szybkość 34 mil morskich (s. m.). Uzbrojenie stanowią 3 armaty kal. 10,7 cm, 2 — kal. 3,7; 4 KM przeciwlotnicze, 2 podwójne armaty do wyrzucania torped. Nowe łodzie podwodne przyczyniły się w b. dużym stopniu do wzmocnienia lekkiej floty wojennej Italii.

Armia amerykańska wprowadziła ostatnio stacje gołębi pocztowych na motocyklach, Klatka z gołębiami umieszczona jest na przyczepce motocykla. — Gołębie ćwiczone są do lotów dziennych i nocnych. Loty nocne stosowane są na mniejsze odległości — do 80 klm. Trening gołębi trwa 6 — 7 miesięcy.

W ubiegłym roku największe manewry armii lądowych odbyły się we Włoszech i w Z. S. R. R. W manewrach armii włoskiej wzięło udział 22 dywizyj piechoty wraz z kawalerją i lotnictwem. Manewry odbyły się w 4 grupach: 1)

w Połudn. Tyrolu — 8 dywizyj w czem 3 piechoty, 2 alpejskie, 2 lotne i 1 zmotoryzowana. 2) w Friaul — 3 piechoty, 1 alpejska, 1 lotna. 3) w Alpach około Bergamo — 3 dyw. piechoty i 1 dyw. alpejska. 4) okolice Neapolu — 4 dyw. piech., 1 lotna dyw. pancerna i oddziały milicji faszystowskiej.

Sowiety przeprowadziły większe manewry w okolicach Kijowa. W manewrach tych wzięły udział wielkie oddziały kawalerji oraz grupy mieszane.

Stany Zjednoczone wprowadziły w armii nowy typ małych tankietek, które mogą osiągnąć b. znaczną szybkość — 80 — 96 klm/godz. i odznaczają się wielką zwrotnością i łatwością w pokonywaniu przeszkód terenowych. Uzbrojenie ich stanowi szybkostrzelna armatka, która może oddać do 100 strzałów na minutę.

Tempo rozbudowy angielskiej floty wojennej stale się powiększa. W r. 1933 Angja wybudowała 12 nowych okrętów wojennych, w 1934 — 20, 1935 — 26, zaś na rok 1936 przewidziana jest budowa 31 nowych jednostek. Wśród okrętów zbudowanych w ubiegłym roku wymienić należy: 4 krążowniki „Arctusa”, „Ajax”, „Sydney”, „Galatea” (2 po 5.200 tonn, 2 po 7.000 tonn), 9 torpedowców, 4 łodzie podwodne 670 i 1850 t.) oraz 8 kanonierek (od 585 t. do 1190 t.).

Celem odciążenia żołnierzy w armii belgijskiej wprowadzono dla każdej kompanii strzeleckiej po 1 samochodzie ciężarowym, na którym mają być przewożone tornistry i bagaże osobiste oficerów. Odciążenie żołnierza wynosi dzięki temu 6 — 8 kg. W ten sposób baon posiadać będzie auto-kolumnę z 5 samochodów, zaś pułk — z 18 samochodów.

Prasa francuska podała ostatnio szereg ciekawych informacji o zbrojeniach armii niemieckiej. Roczna produkcja amunicji w Niemczech wynosi 350 milionów naboju, karabinowych, 350 tys. naboju działowych, 105 tys. naboju do haubic polowych i 250 tys. naboju do moździerzy piechoty. Dzięki modernizacji artylerji Niemcy posiadają obecnie armaty 100 mm o donośności — 18 klm, haubice 150 mm — 12 klm. Donośność armaty 280 mm doprowadzono do 41 klm. zaś armaty 381 mm — do 72 klm.

Z dział plotn. Niemcy wprowadziły do użytku armaty 88 mm o donośności 10 klm. (ciężar pocisku 9,5 kg) oraz armaty 105 mm (ciężar poc. 17 kg).

Prasa włoska podnosi ostatnio wielkie znaczenie granatników w działaniach piechoty. Zaletą granatnika jest lekkość, ruchliwość, mały cel dla oka, szybkostrzelność prakt. 8 — 10 strzałów celowanych prostota i łatwość w obsłudze. Granatniki z łatwością towarzyszą piechocie, zaś w chwili poprzedzającej szturm zastępują ogień własnej artylerji. Baony piechoty włoskiej wyposażone zostały w plutony granatników składające się z 3 sekcji po 3 granatniki.



1. Uroczystość objęcia dowództwa floty U. S. A. przez nowego szefa tej floty — admirała Leigh, na pokładzie krążownika „Pensylwania” w obecności 19 admirałów i 200 wyższych oficerów marynarki wojennej U. S. A.
2. Celem wzmocnienia siły bojowej lotnictwa U. S. A. — amerykańskie samoloty wojskowe uzbrojone zostały w dodatkowe C.K.M.-y wmontowane w podwozie, ponad kołami.

3. Żołnierze pułku angielskiej królewskiej gwardji pieszej podczas ćwiczenia z moździerzem.
4. Włoska artylerja przeciwlotnicza na froncie abisyńskim.
5. Oddział b. partyzantów z wojny domowej podczas święta 15-lecia Sowieckiej Republiki Daghestanu.
6. Defilada tanków sowieckich przed Mauzoleum Lenina w Moskwie.
7. Sowiecki „Skaczący tank” w czasie ćwiczeń „Czerwonej Armji”.



Niedzielne popołudnie — czas „wolny” od zajęć. Siedzi się przy aparacie radiowym i słucha jednym uchem upojnego tanga, drugim zaś ewentualnego dzwonka, którym zniszczyć może różowy nastrój groźny szef. Mimowoli nasuwają się na myśl różne „typy” i „typki”, zaobserwowane w gronie kolegów. Ludzie często z twarzy są tak podobni do rozmaitych zwierząt i ptaków, że mimowoli rzuca się to wprost w oczy. Oto jeden z profilu przypomina orla, drugi chomika, jeszcze inny świstaka, lub kozła. To samo z naturą ludzką. Spotykasz w wojsku jej najrozmaitsze odmiany i wszystkie prawie zwierzęce nawyki i obyczaje. Kto zna rodziną przyrodę, ten niejednokrotnie spotykał się z kukułką. Ludzie, którym się dobrze powodzi, zapytują ją: ile lat będą żyli; niewinni, a naiwni narzeczeni: ile będą mieli dzieci; biedni: ile pieniędzy im ześle św. Antoni; bandyci: ile przesiedzą w więzieniu; „każdy ją pyta wedle staniku swego”, jak powiada stary Rej z Nagłowic.

A figlarny ptak kuka i kuka, a ludziska prostoduszne na palcach swe szczęście rachują. Ma jednak kukułka małą wadę — podkłada swe jajka innym ptakom, aby nie trudzić się wychowaniem potomstwa, korzystając tylko ze słodczy miłości. Chytry to ptak! ale człowiek inteligentny jest, więc zaczął w tem mądrego ptaka naśladować.

W wojsku ma kukułka swoich gorliwych wielbicieli i umiejętnych naśladowców; nazywają ich dla odróżnienia od innych „kukułkarzami”. Ciekawy jest taki osobnik. Kompanja powróciła z ćwiczeń. Było ciężko. Mimo chłodnego dnia twarze spoczone, nadmiar złego padał deszcz napoty ze śniegiem — co spojrzysz na karabin, to serce ci się kraje: plamki rdzy, na zamku błoto... przed oczami karny raport i inne „przyjemności”... wogóle w takich warunkach nie warto żyć. Najbardziej weseli tracą humor, tylko nie „kukułkarze” — ci mają dobrą minę. Krzyczą, popychają kolegów, robią gwałt i zamieszanie. Wyciągasz, lub „ściągasz” bracie szmatę, wazelinę, szczoteczkę i czyścisz karabin. Wszyscy krzątają się, wyrwywają sobie nawzajem pakuły i „patyczki”, ale nie „kukułkarze” — to gentelmeni, stoją w grupce, palą papierosy i przypatrują się uważnie kolegom. Zapyta naiwny, gdzie ich karabiny, czemu nie czyszczą broni? broń złożyli na stołach razem z kolegami i śledzą teraz swe ofiary. Oto jakiś roztargniony strzelec z cenzusem chwytą przez pomyłkę karabin kukułkarza. Pasorzyt zaciera ręce z zadowolenia i przypatruje się spokojnie skrętniej robocie roztrzępionego. Szmateczka aż fruwa w pracowitych dłoniach, karabin po pewnym czasie lśni... — Wtedy dopiero kukułkarz bierze się do działania. Znika jego równowaga, zachrypniętym z rozpaczy głosem ryczy: — „gdzie mój karabin” i biegnie w stronę ofiary. Dla niepoznaki łapie jakiegoś innego kolegę za ramię:

— „Wy pewno macie mój karabin?!”

— „Idźcie do jasnej cholery” — wrzeszczy pracowity właściciel swego karabina.

Dopiero, gdy uczynił ten manewr, zwraca się kukułkarz do roztargnionego i teroryzuje go:

— „Idjoto skończony”, wrzeszczy na oszołomionego, — „znów macie mój kbk!...” jak można tak nieuważać, mówi łagodniej i zabiera wyczyszczonego broń. Skaranie boskie z wami — od godziny szukam i szukam...

Chytry naród, ci kukułkarze!...

Do nich należy gromadka zaspańców. Są to ludzie, których życie jest jednym pasmem mozolnych poszukiwań miejsca do spania. Przed, czy po obiedzie, w południe, czy wieczorem zaspany; najchętniej kładzie się na łóżko sąsiada,

by nie łamać kantów na swoim... ale jast to gatunek wymierający.

Żyje sobie małe zwierzątko w Tatrach — świstak; odznacza się niebywałą ciekawością; nastraszony — chowa się do nory, ale za chwilę wysuwa łebek i mimo strachu patrzy, a małe oczka w kształcie paciorków aż mu wylażą z ciekawości na wierzeh. Taką niebywałą ciekawością odznaczają się pewni strzelcy z cenzusem.

Zobaczył jakieś pudełko w skrzynce podoficera broni, chwytą, ogląda, kręci, wypytuje kolegów... aż z pudełka zaczynają wydobywać się gęste kłęby dymu. Wtedy rzuka przerażony owo „cudo” na ziemię i zaczyna zmykać. Naturalnie świeca dymna krzywdy mu nie robi, ale wyobraźcie sobie granat w rękach takiego ciekawskiego. Czytasz książkę, lub regulamin, a on przez ramię ci zagląda; rysujesz, a on pyta, jak najlepiej trzymać ołówek, grasz w szachy, on kibicuje; jesz obiad, to on, nabierając sobie zupy z wazy, macza łokieć w twoim talerzu; wreszcie zirytowany pytasz go:

— „Kolega pewnie bridżysta?”

— „Nie, powiada, ja jestem nauczyciel... żonaty...”

Staje się twoim cieniem; kiedy śpisz, to dziwnem ci się wydaje, że nie stoi nad tobą i nie pyta: „jak to robicie, kolego?”

Na podwórzu, w każdej niemal zagrodzie wiejskiej żyje kozioł uparty. Odróżniamy dwie odmiany kozłów; 1) uparty, 2) ofiarny. Zajmę się tylko tą pierwszą odmianą, bo na drugą w tym roku nie było urodzaju. Strzelec kozłowaty niewątpliwie nosił brodę jak każdy przywoity kozioł i wąsy. Ponieważ regulamin zasadniczo bród nosić nie pozwala, więc z żalem zgolił ją u pierwszego z rzędu cyrulika, na pamiątkę zaś po brodzie zostawił wąsy. Teraz ze zmienioną nieco fizjognomją służy... poznać go jednak łatwo. Wszyscy biorą jedną porcję masła do chleba, on chce brać dwie i domaga się miodu do picia. Gdybyśmy jedli kurze jajka, on żądałby indyjskich, tłumacząc się tem, że ma chore zęby, a kurze są za twarde. Dziewięćdziesięciu dziewięciu chce gorącej kawy, on gotowanej zimnej wody. Co dalej myśli, czego będzie chciał — niewiadomo. Niech go tymczasem cierpliwie Pan Bóg kocha!

„Kenam”.

Stanisławów — D. K. P. R. P.

## PIERWSZA WARTA

Jakże inaczej dla każdego brzmią te słowa, raz minorowo — stracona przepustka, to znowu przejmując grozą głuchego odosobnionego posterunku, gdzie z za węgla czai się strach. Ten znów przejęty ważnością zadania już na tydzień przedtem przepowiada sobie obowiązki wartownika, dowódcy warty, rozprawdzającego, bo Bóg jedyny wie jaki grom trzaśnie w biednego sapera.

Przyszedł wreszcie oczekiwany dzień. Już od samego rana nastrój podniecony.

Julek! — A-a?! — Co robi dowódca warty kiedy oficer inspekcyjny... — A idźcie do jasnej polerowanej — slychać głos rozwieczanego fachmana od regulaminu.

Gdzieś po kątach błyska przy każdej okazji biały prostokąt regulaminu części VII.

Godzina 12-ta, jeszcze mały przegląd wewnętrzny, kilka poprawek umundurowania i oddziały maszerują na odprawę aby po wielu przygotowaniach usłyszeć sakramentalne słowa: „Służba Wartownicza”. Jak służba to służba, jeden

z drugim nasadził czapkę na bakier i silnem uderzeniem stóp defiladowego kroku dodaje sobie ducha żołnierskiego. Jeszcze raz baczność — spocznij! i marsz na wartownię.

Pójdźmy za nimi.

Wartownia główna — ho, ho to nie przelewki, areszt garnizonowy to okazja do wielu emocji. Stanęli w spokoju nie przecuwając co ich czeka, gdy w tem po schodach naprzeciw wchodzi gromadka typów nie budzących wielkiego zaufania, czapkę każdy ma daszkiem na uchu jakby się umówili, taki to już aresztancki fason.

Starszy saper z cenzusem Bajdurski!!! — Jestem! Zaprowadźcie aresztantów do sądu!

Masz ci los, nie wiadomo kto kogo zaprowadzi, ale trudno, rozkaz to rozkaz, w prawo zwrot, marsz! Bajdurski chrząknął i poszedł. Pierwsze kroki stawia niepewnie, ale kilka najbliższych chwil przyniosło mu ukojenie nie wystawiając go na nowe próby.

Na samym tyle szedł drab olbrzymi o twarzy nawet dość ludzkiej — za co on może siedzieć! Bajdurskiemu ciekawość zaczyna wracać przytomność.

„Hej Wy tam, za cóż to siedzicie?” Ii — bagatelka — panie drużynowy (starszy saper dla żołnierza z bataljonu musi być drużynowym) zawczasie przyjechałem. — „Skądże, to niemożliwe, a skąd żeście przyjechali?” — Z manewrów panie drużynowy”. Bajdurski pęka ze śmiechu — i cały ciężki nastrój prysnął!

Ananasy!!!

Pod bramą „A” stoi na posterunku Wacek, jest niedziela rano, przed bramą troje ludzi, mężczyzna, kobieta i jakiś młodziak, idący do kościoła.

„Proszę o przepustki!”

Kobieta stanęła nieco zdziwiona dawno niesłyszanem pytaniem, ale wyciąga przepustkę, a młody typek podsuwa wartownikowi pod nos jakąś czerwoną kartę...



Na warcie

fol. Janaszek

Wacek czyta, cóż u diabła, to jest karta poborowa, za tem można wejść ale inną bramą, proszę wracać z Bogiem.

Kto inny zląkłby się zapewne strasznych życzeń i całego szeregu przymiotników wyrzuczonych przez przedstawicielkę ludu, ale Wacek dzielny chłop, nie puścił. Na nagrodę czekał niedługo. Ledwo babsko odeszło typek chwytą go kordjalnie za ręce i ryczy w ucho „Pan Bóg wynagrodzi panie podchorąży, bo to ja dzisiaj miałem z Mańką... a ta megiera mnie do kościoła ciągnie”.

Nie wszyscy jednak byli tak zachwyceni tym całkiem nowym rygiorem, jak Modlin Modlinem, nie było tyle meldunków, zatrzymań i klątw. Na Modlin padł blady strach!

Na jednej z wart zatrzymano konia za plugawy wygląd, a pana jego posłano do golarza. Biedny poczytył on z jękiem tłómaczył. — „Przez 10 lat tą drogą jeżdżę i nic, tylko panów pod-

chorążych się żarty trzymają”.

Nad ranem posterunki zawiadomiono o kradzieży roweru, znaki charakterystyczne: — błotnik związany drutem.

O nieopatrni!!

W ciągu 3 godzin wartownie zapelnily się rowerami, zlorzeczenia ludzi doszły do zenitu. W oczach wartowników rowery dwoily się i troily, wreszcie nad wieczorem przyprawdzono ów skradziony rower tryumfalnie na wartownię. Tym razem jednak wynik był całkowicie nieoczekiwany, błady z wściekłości cyklista oświadczył, że już od dwu godzin odzyskał rower i nie może z nim wyjechać, bo go ciągle łapią i prowadzą na wartownię.

Niedzielny wieczór połączył znów wszystkich na izbach i pomimo zmęczenia długo było slychać opowiadania i gwary. a w nocy jeszcze co niektóry „ryczał” stój, kto idzie lub groził strzelaniem.

st. sap. z cenz. Fachinetti.

## MANEWRY

Dziwny widok przedstawiał rankiem — 19.II b. r. plac alar-mowy pułku. Wielki czworobok — pokryty śnieżnym całunem — otoczony z przodu kompleksem budynków koszarowych; z tyłu — potężną ścianę tworzył hangar, po bokach zaś stały strzeliste topole i olbrzymie stare jesiony — wszystko przysypane śnieżnym puchem, błyskotliwie migającym w promieniach wschodzącego słońca. W środku zaś czworoboku masa ludzi, koni, wozów i żelaza. Wszystko w pełnem oporządzeniu, na plecach cięży plecak z dwoma kociami, pod nim kiwa się maska, uderzając raz po raz w wy-

pchany chlebak, ładownice pękate od naboji, słowem ekwipunek bojowy.

24 pułk p. p. wraz z dyw. Kursem Podch. R. wyrusza na manewry zimowe.

Ponieważ w wojsku stosuje się zasadę: „spiesz się powoli” — przeto czekanie parę godzin na mrozie nie uczyniło na nas większego wrażenia. Jedynie nastrój podniesiony sztucznie gorącym i treściwym śniadaniem opadł do stanu normalnego.

W końcu krótka komenda i masa ruszyła. Na czoło





Przed strzałem  
do celów  
ruchomych

wysunęły się kompanje strzeleckie, artylerja, tabory, na końcu zaś dwie półkompanje Dyw. Kursu. Piękny, słoneczny dzień, jakoś nie chciał rozjaśnić naszego oblicza. Zbyt dobrze zdawaliśmy sobie sprawę z trudów i ciężkich warunków w jakich mieliśmy przeżywać.

Z serdecznym żalem i współczuciem żegnały nas jasne oczy spotykanych w przemarszu przez miasto, spieszących do szkoły dziewczynek.

Głośno, ale poważnie brzmiały nasze piosenki, śpiewane bez wielkiego przekonania.

Skończyło się miasto. Przyszły wsie, pola, znowu wsie. Droga dobra przez 15 klm. Potem — pozał się Boże! Nigdy nie przypuszczałem, że marsz „naprzętaj” może być tak uciążliwy. Podchorążówka jako kompanja samodzielna, została sama i sama musiała torować sobie drogę. Pola pokryte śniegiem, tworzyły idealną niemal równinę. Ciekawie jednak zachowywały się nasze nogi, które raz po raz „traciły grunt pod nogami”. w następstwie czego ruszaliśmy się w śnieżnym puchu, mniej lub więcej, zależnie od... „okoliczności”. Spoczątku nie braliśmy tego tragicznie. Trochę „gorzej” było po przejściu kilkunastu klm. No, ale cóż to znaczy wobec wieczności?

Z radością „przyjęliśmy do wiadomości” „stój”, „obiad”. Rozkwaterowani po chałupach, siedząc gdzie się dało, z ciekawością obserwowaliśmy „wnętrza”. Przeważnie biedota. Jedna izba mała, połowę której zajmuje olbrzymi piec, za którym na deskach pokrytych słomą — dzieciarnia. Na ścianach kilka świętych obrazków domowej roboty, króluje naturalnie ikona w złoconych ramach, opleciona wieńcem uschniętych kwiatów. W kącie wisi flaszka z wodą święconą, prezent „batuszki”.

Z miłego, ciepłego nastroju wyrwała nas zbiórka na obiad. Obiad w polu — pozał się Boże! Nie mieliśmy jednak pretensji, zadawał się tem co było, a było „to” przede wszystkim gorące. Po obiedzie odpoczynek. Trwać miał według „planu” cztery godziny. Niezbyt jednak temu wierzyliśmy. Nie zostaliśmy więc zaskoczeni, kiedy po pół godzinie nadjechał goniec — w chwilę potem — marszem ubezpieczonym, brnęliśmy ku czerniejącemu, daleko na horyzoncie, lasowi. Naturalnie, par force, dół nie dół, droga nie droga. Dzielną kuchnia jechała krok w krok za nami, mając przed sobą serce naszej kompanji „l. k. m.”

W drodze, a zwłaszcza w lesie, spodziewaliśmy się na-

tarcia, to też będąc kilkadziesiąt metrów przed lasem, pełni oczekiwania i chęci boju wsadziliśmy „bagnet na broń”. — Tymczasem nic. Dopiero po przejściu 12 klm. nadjechali wspaniałymi sankami, otuleni w przepyszne futra panowie-rozjemcy.

Dowiedzieliśmy się, że... wyminęliśmy nieprzyjaciela ni mniej ni więcej, tylko o... 7 klm. Trochę śmieliśmy się. Śmiech jednak zamarł nam na ustach na wieść, że do noclegu mamy jeszcze 15 klm. Bagatela. Było już zupełnie ciemno. Smutni i zrezygnowani wlecąc nogami, powlekliśmy się w mroczną dal. Dopóki szliśmy drogą, szło się jako tako. Kiedy jednak po kilku kilometrach zeszedliśmy na polne drogi (czyt. bezdroża) prawdziwa katastrofa. Szliśmy podtrzymywani jedynie wolą i ambicją. Były i „trupy”, a jakże! — co kilkaset metrów na boku naszego szlaku napotykałyśmy „szary mundur”, leżący bez ruchu na śniegu, z sterzącym k. b. k. Przy „pierwszym” zatrzymaliśmy się

nagle pełni smutku i współczucia, pragnąc nieść mu pomoc, nagłeni jednak, ruszyliśmy dalej, zostawiając „nieboszczyka” opiece tyłów.

Przy następnych nie zatrzymywaliśmy się już, a jeszcze dalej wogóle nie zwracaliśmy uwagi, bacząc by własne nogi się nie ugięły. (Inna rzecz, że „panowie-trupy”, widząc że nikt im nie spieszy z pomocą, a sań nie było, chcąc nie chcąc wstali i powlekli się za kompanją). Tymczasem noc rozpostarła swe czarne skrzydła nad bezbrzeżną bielą. Właśnie przechodziliśmy przez jakąś rozległą równinę, gdy czoło stanęło. Nic takiego. Zmyliliśmy tylko „trochę” drogę. Decyzja krótka! — Wprawo zwrot, marsz! Ruszyliśmy więc długim dwuszeregiem. Równania nie było. I dobrze, że nie było. Zaledwie bowiem pierwszy szereg uszedł kilkanaście kroków rozległy się krzyki i nawoływania o pomoc.

Okazało się, że na drodze naszej był wcale solidny rów z wodą, zupełnie pokryty śniegiem i zrów-

nany z terenem.

Rzadko kogo oszczędziła ta przykra kąpiel. Nawet pp. oficerów i podoficerów, niektórzy z tych ostatnich, ze wzglę-

Po 40 km.  
marszu



fol. por.  
Ożarowski

du na swój „wysoki stan” niktęli wraz z głową w śnieżnym puchu, mocząc po kolana swe zgrabne (!) nóżki w zimnym ożywczym potoku. Klęliśmy trochę — nawet dość głośno. Wypadek ten jednak wyrwał nas z apatii a ze względu na mokre nogi przyspieszył nasz marsz. Ostatecznie o godz. 10 z minutami stanęliśmy we wsi, gdzie mieliśmy nocować. Na „stój” wszystko, nietylko stanęło, ale nawet... siadło. Wystawieni jednak byliśmy na ciężką chwilę oczekiwania. Okazało się, że do tej wsi o godz. 21 przybył bataljon i zakwaterował się, zajmując dosłownie każdą chatę. Nam zaś kazano maszerować jeszcze 5 klm. (?) do następnej wsi. Rozpacz! — Czy poszlibyśmy? — prawdopodobnie ttaaak.

Sytuację jednak uratował nasz dowódca plutonu dzielny przewodnik. Por. W., który stanowczo oparł się marszowi. Stanowczość w wojsku mile jest widziana. Dlatego też zostaliśmy, a por. W. zyskał naszą wiarę i zaufanie.

Kwatery pełne. Ośmiu z nas z kapralem drużynowym skierowało się do wskazanej chaty. Walimy w drzwi. Nikt jednak nie otwiera. Światło w oknach wskazywało, że ludzie byli i nawet nie spali. Potęgujemy uderzenie.

W końcu otwiera jakiś strzelec. „Ny — co jest? Panie kapral — niech się pan nie pcha — to jest nasze — tu nasz sklepik — sie wie odpowiadam...” Nie słuchamy go jednak — odsunawszy „delikatnie” na bok — walimy do wnętrza. — Izba maleńka, — duży piec — za nim — na pryzkach gospodarze z dzieciarnią. Na podłodze — grubo wymoszczona słomą, leży trzech strzelców z pułku (wyznanie mojżeszowe): wkoło pełno worków i skrzyń. Miejsca, najwyżej na trzech. Stoimy zmęczeni nie zastanowiwszy się nawet nad spaniem. Rozbieramy się. „Sklepiarze” zaczynają zawodzić, że czy tylko oni, że mają towar, że ciasno, i t. d. i t. d. To przeważyło szalę. Już, już, mieliśmy wybuchnąć gdy nasz kapral, któremu także było tego za dużo, powiedział kilka krótkich ale dosadnych słów. Skutek był ten, że wszystkie worki „wyjechały” do sieni, oni



Chwila na  
którą  
wszyscy  
czekają

fol.  
Ożarowski



Naprzętaj, przez las...

ścisnęli się w jednym kącie, mrużąc zjadale pod kocami my zaś zabraliśmy się do roboty. Ciasno było okropnie! Pracę nad „legowiskami” przerwał nam — jakże miły sygnał trąbki do „kotła”. Posileni wspaniałą kaszą z konserwami, napojeni gorącą kawą — odzyskaliśmy wszystkie niemal siły: Do chaty naszej zawitało trzech jeszcze gości. Podoficer gospodarzy sierż. J. bardzo morowy (raczył nas papierosami kawą, nawet sznurowadłami por. pysznymi kawałkami). Prócz niego przyszło jeszcze dwóch kucharzy, którzy, w maleńkiej izdebce, razem z gospodarzami, było nas 19 osób! Wszyscy spragnieni snu i wypoczynku. Leżeliśmy — dosłownie jak śledzie! Ścisłe jeden obok drugiego. Nogi, tak były pomieszczone, że nawet podrapać nie było się można, nie wiedząc która z tak licznych nóg do nas należy. Posnęliśmy. Po godzinie — budzi mnie jakieś potężne chrapanie i sapanie i sapanie tuż przy mej głowie. Podnoszę głowę

Po natarciu

a tu nowy lekator! jak Boga kocham! Wlaź przez niezamknięte drzwi — wsadził nogę na brzuch koledze — tułów na nogi drugiemu, a głowę na mnie. Wszystko ma jednak swoje granice: Budzę gościa — i kilku dosadnymi słowami, daje mu do zrozumienia, by poszedł „w pierony.” Wstał posłusznie i poszedł. Za chwilę — usłyszałem, jak „coś” łązi po strychu. Nie mogła psiakrew odrazu tam iść mrużąc zamykając oczy.

Przyzwyczajenie nie zawsze wychodzi na dobre. Mimo, że pobudka była dopiero o 8 to jednak o 5 45 nikt z nas już nie spał. Leżeliśmy więc w bezwładnej kupie — paląc papierosy i rozmawiając o wczorajszym marszu. Humor dopisywał. „Naciągaliśmy p. p. instruktorów na temat ich wczorajszej kąpeli w pamiętnym rowie — oni naciągali nas, śmiejąc się, że szukaliśmy placówek w śniegu (spowodu: spuszczone głowy.) Gospodyni napaliła w piecu wysuszyliśmy wszystko solidnie i zabraliśmy się do śniadania. Kolega Nemał poszedł po „fasunek”. Czego on nie przyniósł! starej pysznej słoniny, cukru w kostkach, konser-



wykawy,—poprostu—uczta. Gdyby nie wspomnienie wczorajszego marszu i kilkudziesięciu km. do Łucka, gotowiliśmy krzyknąć: „niech żyją manewry.” Jednak nie krzyknęliśmy...

Ochoczo jednak i z zapalem krzyknęliśmy na zbiórcę: „Czołem Panie kapitanie”, gotowi do dalszego marszu. Na dzień ten, przeznaczone było spotkanie z nieprzyjacielem. Wobec tego — marsz ubezpieczony — dość daleko i... naprzelaj (jakżeby inaczej?) Maszerujemy. Powoli mija godzina za godziną — nagle do uszu naszych dobiegły strzały i charakterystyczny rechot karabinów maszynowych. Odrązu tyraljerka i natarcie. Wkrótce — oczom naszym okazał się w całej swej okazałości „nieprzyjaciel” rozpostarty w tyraljerce na przeciwległym wzgórzu. Walka! Ledwie jednak zdążyliśmy odbezpieczyć ka-be-ka, trąbka „przerwać ogień” zakończyła walkę. Okazało się, że „walka” trwała 4 godziny — nadejście nasze przeważało szalę zwycięstwa... „troszkę”, spóźniliśmy się. No, ale to nie szkodzi npl. był tak uprzejmy i czekał cierpliwie. Po „walce” — obiad jak zwykle „doskonale”, wogóle kuchnia podczas całych manewrów zdała doskonale swój egzamin. Odpoczywaliśmy parę godzin. Potem marsz. Marsz na nocleg i do domu! — Czyż mogły nie radować się serca nasze? Kilka godzin marszu przeszło zupełnie lekko. Doszedłszy zaś do przeznaczonej wsi przypuściliśmy atak do chałupy. Naszej ósemce dostała się duża wygodna izba. Jedyłą jej wadą było to, że nie było zbyt ciepło. Rychło jednak ściągnęliśmy

babę z chłopem z za pieca i w kilka chwil potem na podłodze znalazło się kilka snopków słomy, a w piecu trzaskał wesoło ogień. Mieliśmy więc spanie i ciepło zapewnione. Czyż trzeba nam było więcej? Naturalnie, że tak ale było i „to”. Dwóch kolegów poszło po kawę i zupę reszta po kolei grzała konserwy ze świeżą cebulką na ogromnej patelni. Wspaniały zapach rozszedł się po izbie mile lecząc nasze nozdrza. Po posileniu się z prawdziwą przyjemnością wyciągnęliśmy przemoczone nogi i... nie czekając na „capstryk” zasnęliśmy, snem sprawiedliwych. Rano tym razem już o 6 zaraz po śniadaniu ruszyliśmy (o radości) do domu.

Jak zwykle naprzelaj. Dopiero po kilku km. dotarliśmy do szosy. Teraz — to już furda! — Dwa krótkie odpoczynki w drodze — i... z gromkim śpiewem wkraczamy do Łucka, wszyscy zdrowi (nawet „trupy” czuły się dobrze). Opaleni i osmagani ostrym wiatrem wschodu — pełni wery i humoru.

Koszary. Chociaż tylko na 3 dni opuściliśmy je, to jednak wydały się nam... pałacem. Z głębokim westchnieniem ulgi i błogiego zadowolenia — składaliśmy oporządzenie na przeznaczone miejsca.

Takie więc były owe manewry zimowe.

Jak zazwyczaj tak i tu sprawdziło się przysłowie „nie taki djabeł straszny — jak go malują”.

strz. z cenz. Z. Janiga.

Łuck.



## W I E Ż A B A B E L

(Wrażenia z podróży naokoło świata na pokładzie „Daru Pomorza”.)

Twarze sine. Podkrążone i zapadłe oczy. W siąpiący deszcz, w zimne bruki, w nawisłą nad miastem ponurość — wpada suchotniczy kaszel bosych, obdartych kulisów.

Na środku kanału Soochow Creek przywarowały przy beczkach francuskie, brytyjskie, włoskie i amerykańskie okręty wojenne. Pałają się światła kotwiczne. W mroku naprzeciw dzielnicy chińskiej Nantao majaczy się sylwetka polskiej fregaty. W górę i w dół kanału, do rzeki Jang-dze-kjang i jej mglistego, żółto zabarwionego szerokiego ujścia, mkną jak widma dżonki. Wspaniały, chińskie dżonki kupców, rybaków, przewoźników i piratów.

W koncesji międzynarodowej, przy Cathay Hotel, naprzeciwko banków, gmachów ubezpieczeń, urzędu celnego, nad przystanią przy ferry, — w Nantao — w koncesji francuskiej — chiński kulis ciągnie swą rikszę. Biegnie jak koń, zaprzężony do dyszli. Biegnie truchtem i wielkim kłusem. Pokrzykuje w narzeczu swej prowincji dostawczyń najlepszych biegaczy, ludzi o najzdrowszych płucach, wiekami zaprawionych do całodziennego biegania po bruku miasta, rozżarzonego w lecie i skostniałego mrozem w zimie.

Z łodzi, obsługiwanej przez ubogą rodzinę, której służy jako stałe mieszkanie, wysiadasz na brzeg i wnet kilkunastu kulisów otoczy cię wózkami zwartem kołem.

Wymieniasz adres, kulis ze zrozumieniem potakuje i pędzi przed siebie. Kulis jest głupi. Czy zwierzę pociągowe może mieć rozum? Kulis niema nawet instynktu, uderza bosymi stopami w rozchlipany na jezdni deszcz i pędzi naoslep przed siebie. Czasem pokrzykuje jakimś gardłowym dźwiękiem przy wymijaniu innej rikszy, toczącej się na gumowych kołach sprzeciwna. Migają zgięte grzbiety, bosa stopy, w uchu zazgrzyta kaszel...

Riksza nie wie, dokąd zawieść pasażera. Przybysz, który po raz pierwszy znajduje się w obcym, milionowym mieście, musi kulisowi wytyczać kierunek na prawo, na lewo, prosto. Wyciągniętą ręką prowadzi pojazd w ludzkim zaprzęgu. I wreszcie zabłąkany w gęstwie uliczek, każe stanąć przy pierwszej stacji samochodowej — skąd zamawia się w Szanghaju telefonicznie taksówki i z uczuciem bezpieczeństwa odda się pod opiekę szofera — chińczyka, rozumiejącego po angielsku lub dobrze poinformowanego przez białego właściciela biura wynajmu taksówek.

Kulisowi trzeba zapłacić według stawki, bo każdy cent ponad normę wywoła burzę napastliwych a często i groźnych roszerzeń o zdwojenie, potrojenie zapłaty. Na dnie

spowiewieranej, skopanej duszy kulisa tkwi zły człowiek gardzący litościwym, hojnym a więc słabym człowiekiem. W kulisie budzi szacunek człowiek twardy, jak jego własny los.

Pierwszego dnia, gdy siadłem do rikszy, skrępowało mnie niezwykle uczucie wstydu. Ludzie — konie, to nie mieściło się w zetknięciu z rzeczywistością w ramach codziennych uczuć. Przypominam sobie, choć to teraz zupełnie przybladło, że w jakimś niemieckim załamaniu duchowym, przeżywałem coś, coby się wyraziło wykrzyknikami o sprawiedliwość już nie społeczną, ale Boską. A potem, kiedy poruszony uczuciem litości, zapłaciłem kulisowi dwa razy tyle, ile mu się należało, wybuchnął groźbami i zdaje się stekiem wyzwisk, od których skryłem się w taksówce. Kulis łzył jeszcze w ślad za umykającym samochodem.

— Czulem się jak w bezpiecznej łodzi, która wymknęła się codopiero ze spadzistego prądu rzeki, najeżonej podwodnymi skałami, pełnej wirów, pali na pół zniszczonych mostów i grobli — a w uszach brzmiała przestroga świeżo na statku poznanych rodaków!

— Wstrzegaj się pan dzielnicy chińskiej Nantao. To nie miasto europejskie o rozplanowanej sieci ulic — to labirynt wąskich, kręcących się uliczek, pełnych ludzkiego mrowia, szyldów i chorągwi z chińskimi napisami, które przesłaniałyby perspektywę, gdyby ta istniała. Nikt tam nie mówi żadnym europejskim językiem. Zabłąkać się łatwo, a wyjść jest tak trudno jak z pustyni. Otaczająca nędza chińska jest tak samo wroga dla białego.

Samochód wiozł nas do lokalu — dancingu „St. George”, gdzie w świetle kinkietów i w blasku posadzki kręcił się świat szanghajski. Młodzi biznesmeni wszystkich narodowości z przewagą typu anglosaskiego blondyna, wysokiego, barczystego i muskularnego, o niebieskich, szczerych oczach; przewijali się czarno-włosi i czarnoocy południowcy europejczycy — Włosi, Portugalczycy, Hiszpanie? — biznesmeni w wytwornych wieczorowych ubraniach a obok nich marynarze z cudzoziemskich okrętów wojennych, stróżujących w ujściu Jangdze-kjang'u (lufy armat muszą trzymać zdala widma bokserkich powstań); gdzieś Chińczyk w europejskim ubraniu; — wszyscy deptali na posadzce fox-trott'a, przeginali się w powolnym, rozmazanym tangu. Światła się przyciemniają i reflektory obchwytyją salę kolorowemi, rozmarzonymi smugami, jak posiewy latarni morskiej nad chińskim morzem przy Woosung'u.

Kobiety? Przybysza przykuwają nie sztywne damy — europejki, towarzyszące panom, ani białe fordanserki, siedzące wokół tanecznego parkietu, ani niezwykle czasem okazy światowych awanturki, które zawędrowały do szanghajskiej „wieży Babel” u boku kapitalistycznych drapieżców albo też na własne ryzyko przyjechały szukać szczęścia — przybysza olśniewają fordanserki chinki, których trzy tańce kosztują jednego dolara, w długich, wąskich sukniach po kostki, a rozciętych z boku powyżej kolan, grecko czy asyryjsko piękne regularnością rysów, ledwo skośnemi oczami, gładkiemi, hebanowemi włosami i... zachowanym strojem narodowym. Coby zostało z niezwyklej smukłości sylwetki chinki w europejskiej sukni? Z gracji wąskobiodrego efeba, z pięknej

głowy wynurzającej się z zapiętej wysoko pod szyją jedwabnej, ciemnej sukni?

Przy stoliku siedzę z naszym rodakiem, rozbitkiem z Murmania inżynierem M. Przyjechał z tajemniczą panią X, której nazwisko i imię są tak trudne do wymówienia i napisania, że zastąpię je literą. Może właśnie tylko dzięki tej literze zespałam z panią X tajemniczość? Jednak nie; oprócz stalowych błysków oczu (u kobiety!) i mocnego charakteru, który było widać w wyrazie ust, w kształcie czoła, w rysach twarzy, odczuwało się coś nieokreślonego i niepokojącego w pięknej kobiecie.

Słyszałem tego wieczora od moich towarzyszy przedwianą opowieść jak z sensacyjnej, detektywno-szpiegowskiej książki. Przyjęcie w namiocie u Czang-dzo-lin'a przy grzechocie otwieranych i zatraskiwanych zamków karabinowych przybocznej straży, ukrytej za przepierzeniem. Konszachty z marszałkiem Szang-kai-czek'iem i w końcu z wierzni wypłynęła poufnie i pod słowem opowiedziana sprawa dostawy broni, samolotów, armat i tanków — mongolskiemu chanowi!

W ten najgłębszy interior Chin? To zakrawa na bajkę. Przy konkurencji wyspecjalizowanych handlarzy bronią?

— Łapówką, znajomością kraju, pieniędzmi wszystkiego można dokonać.

Pan M. objaśnił, że pewien potentat Mongolji szukał kontaktów poza Sowiecami i chińskim rządem centralnym. Przypadkowa z nim znajomość osobista oddała moim rozmówcom w ręce pośrednictwo przy milionowej tranzakcji. A skarbee chanów są jeszcze bardzo, bardzo zasobne. Jeden z wtajemniczonych odleciał już samolotem z chanem, który bawił incognito w Szanghaju. Podnieca i zapala wyobraźnię, że ten drugi mężczyzna jest również Polakiem. Na chwilę, poprzez tę dancingową salę w smugach reflektorów — jawi

się oczom aeroplan unoszący się nad łańcuchami górskimi i pustyniami, nad krajem dzikim, poszarpanym, wrogim wszelkiemu życiu. Szczępy zbrojnych koczowników, karawany wielbłądów, majaki dzikich twarzy — lotnisko przed dworem chana. Krąg twarzy padających w proch przed władcą w towarzystwie „białego djabła”.

O czwartej rano samochód inżyniera M-skiego wdrązał się słupami reflektorów w ciemności małych, krętych uliczek. Zatrzymał się przed furgonem, który wyjechał z przecznicy i zatarasował drogę.

Ktoś zawisł ręką na przedniej otwartej szybie. Wsunęła się głowa młodego, dwudziestokilkolletniego mężczyzny. Jasne włosy, piękne rysy skażone upadkiem moralnym, występkiem, zbrodnią. — Proszę o parę centów. Jestem bezrobotny i głodny...

Miękki, rosyjski akcent dźwięczał w tej angielszczyźnie niemile dla ucha. Skopałbyś tę mowę, odrzącił jak fałszywą nutę. Coś natrętnie podłego, pokornego tało się w wibracji głosu młodego silnego żebraka.

— Nie mam centów. Proszę z drogi. Puszczam starter.

— Pan ma samochód — ja jestem głodny. Ja chcę jeść! — wyskoczyła nagle z pokornego tonu groźba.

— Jestem głodny!! — wykrzyknął głośno, złowrogo i ostrzegawczo. Palce wczepiły się napastniczo w ramy szy-



Pod żaglami „Daru Pomorza”



by san.ochodowej. Głos zabrzmiał w uliczce poprzez turkot kilku furgonów jak wołanie o pomoc, jak hasło dla towarzyszy, ukrytych w mrokach ciemnych zaułków, otwartych nocnych barów — domów publicznych, plugawych kamienic, gdzie skryło się ghetto podupadłej, zdegenerowanej części rosyjskiej emigracji.

Inżynier wetknął w rękę wykolejeńca monetę półdolara. Nacisnął starter.

— Dziękuję szanownemu panu, dziękuję bardzo — głos powrócił do pokory i nawet, zdawało się serdeczności, może nieudanej. Czy miałbym wtedy rację w sądach o młodym człowieku?

— Lepiej stąd wyjechać czempredzej! — Rzekł pan M. W francuskiej koncesji może być czasem dość niebezpiecznie, zwłaszcza o tej porze i w tej dzielnicy. W międzynarodowym settlement co innego.

Właśnie wjeżdżaliśmy w Nanking Road. Po kilku minutach wóz pędził szosą wzdłuż rzeki, przekroczył granicę chińskiego miasta Nantoo, sunął teraz wolniej po wyboistych brukach wśród coraz to zjawiających się kulisów, tragarzy. Im dalej, tem więcej ludzi. Wreszcie samochód stanął, uwięziony... gęstym tłumem. W młym świetle latarni stanęły setki twarzy, na których pełgały ognie i cienie? Tłum płynął zewsząd jak na sabbat, narazie cicho, bezszelestnie (byliśmy zamknięci w wozie jak w skrzyni głososzczelnej), potem nabrzmiwał głosami, puchł hałasem.

Inżynier naciskał trąbkę. Dwa kroki naprzód. Stop. Znow trąbka. Tłum Chińczyków oblepiał nas ze wszystkich stron, ustępował trochę, rozwiewał się, znow zamykał. Gdyby przedniemi kołami rozgnatać bosc stopy, i tak nie miałyby to żadnego skutku.

Obserwowałem w milezeniu mego gospodarza-kierowcę. Otworzył ramiona bezradnie.

— Dalej już nie mogę. Nie wycofałbym później wozu. Dobrze, że stąd już blisko do „Daru Pomorza”. Pięćdziesiąt kroków nawprost. Nie zbłądził pan napewno, byle się trzymać brzegu rzeki. I niech się pan nie obawia: to rynek. Budzi się najwcześniej w Szanghaju. Po wschodzie słońca będzie tu mniejszy ruch, ale hałas jeszcze większy. Do zobaczenia jutro w Astor House!

Uścisnąłem rękę inżyniera. Widziałem jeszcze, jak z trudem obraca swój wóz, jak statek w ciasnym basenie „dziobem do wyjścia”.

Schwytalem nozdrzami zapach słonej wody (Jang-dze-kjang daleko wgląd lądu niesie słoność morza). To był już pewny drogowskaz. Wdarłem się w tłum. Przeciskałem się między tragarzami, przeładowanymi towarami żywnościowymi o dziwnych zapachach, które tak szczegółowo opisała już pani Gordon Cumming. Omal nie wpadłem pod beczkę niesioną na prętach przez czterech tragarzy. Poddawali sobie takt (o rytmiko pracy!) śpiewem: Hi! Ho! — Hi! Ho! Wzorowe okazy muskulatury. Chłopy tęgie, barczyste. A obok nich filigranowe typy południowe. Odrazu wiadomo: Mongoł i Chińczyk.

Znalazłem się na nabrzeżu. Spośród licznych łodzi, których właściciele narzucali się, wyrывая sobie klienta, wybrałem tę samą, co mnie przewiozła na ląd: łódź rodzinny, złożonej z młodej pary i siedmioletniego synka. Synek spał, wtulony w zwilgły kocyk między mokremi deskami dziobnicy, ojciec i matka czuwali całą noc, czekając na zapóźnionych marynarzy ze statków i okrętów wojennych. Wiosłowali oboje, silnie obracając wiosła pod prąd. Nie chciało mi się usiąść na mokrych deskach, stałem więc, poddany mocznej chwiejbie Jang-dze-kjang'u, poszarpanego teraz krótkimi falami. „Przypływowemi czy też odpływowemi?” — zastanawiałem się. Spojrzałem na kierunek prądu. Nic stąd nie wynioskowałem. Czerniła się noc nad miastem, najdziwniej-

szem i najpotworniejsem pomieszaniem ras, interesów, języków, bogactwa i nędzy, i w niej gubiła się wszelka możliwość orientacji. Gdy wskakiwałem na trap fregaty, malec którego obudzono, usiłował mi pomóc. Takie kruszydło, trzymało się zaledwie, ale dzielnie na tańczącym dziobie. Chłopiec wyglądał w blasku światła dalekiego miasta i gwiazd, jak cherubinek o czarnych, świecących oczach. Poglaskałem go po włosach i wygarnawszy z kieszeni kilka miedziaków wielkich jak tarcze, położyłem je na jego dłoni.

Tego samego dnia wieczorem spotkałem znow inżyniera w Astor House, gdzie szanghajska polonja, licząca około 500 osób, urządziła wielkie przyjęcie na cześć kapitana i załogi pierwszego polskiego statku na wodach chińskich. Piękna i duża sala pełna była Polaków — poprostu polska oaza. Ludzie czysti, dzielni, solidarni — nie dano ani jednemu Polakowi spaść tam, gdzie spada rosyjska emigracja — aż dziw, że tyle w nich jeszcze prawości, że miazmaty zatrute-go miasta nie dotknęły naszej najdalej na wschód wysuniętej osady. W Astor House obecni byli p. poseł Rzeczypospolitej Barthel de Weydental i pani Weydentalowa z milutką, kilkuletnią córeczką Terenią.

Odbyły się tańce. Trzeba stwierdzić, że Polki w Szanghaju, urodzone przeważnie w Charbinie, w Władywostoku, tańczą doskonale. Wszyscy się tu skupili: od urzędników w międzynarodowej (angielskiej) komorze celnej poczynawszy i na przedstawicielach polskich fabryk skończywszy. Nie było natomiast Andrzeja P., którego poznałem w dniu następnym. Stał z kolegą na granicy koncesji francuskiej i międzynarodowej w mundurze francuskiego policjanta, a dnia poprzedniego miał również służbę.

Zbliżyłem się do obu policjantów i zapytałem kolegi Andrzeja o jakąś ulicę. Policjant odpowiedział mi uprzejmie i wyczerpująco. Słuchał tego Andrzej i nagle mówi po polsku: „Pan jest z „Daru Pomorza?” z uśmiechem tak serdecznym, z rozjaśnioną, promieniejącą twarzą i z oczami, wyrażającymi wielką radość. „Przyjdę jutro odwiedzić was na statku”. Cały kwadrans spędziliśmy na rozmowie na granicy obu koncesji. Policjanci annamiccy regulowali ruch uliczny, zatrzymywali kulisów przy przejściu do drugiej koncesji:



Brama starej świątyni

pasażerowie musieli przesiadać się do nowej rikszy. Czasem niesforny kulis otrzymywał razy pałką annamity. O dwadzieścia metrów dalej sprawował władzę angielski „Sikki” — brodaty olbrzym hinduski. Biali policjanci dozoruują policję kolorową.

Ale śpieszę do sinologa, byłego profesora na wydziale orientalistycznym jednej z wyższych uczelni w Europie.

Profesor słuchał moich wynurzeń, przeczuć i zgorączkowania na temat pięcioletniej cywilizacji chińskiej: steku naiwności wyolbrzymiania zalet sztuki, odrębności psychicznej chińczyków.

Jak każdy nowy przybysz, byłem entuzjastą Wschodu. Biała plama na mapie naszych wiadomości wyostrza ciekawość, osnuwa umysł nawalem przypuszczeń, przeczuć fantastycznych możliwości.

Profesor słuchał bardzo poważnie. Teraz dopiero widzę śmieszność mego entuzjazmu i pochopności do robienia uogólnień i oceniam towarzyską wartość wyrazu powagi na twarzy sinologa. Gdy wdałem się w porównania między kulturą grecką i chińską, profesor przerwał mi:



Najstarsza ze świątyni z charakterystyczną budową daszków.

— Mogę panu powiedzieć tylko jedno. Pracuję od dwudziestu kilku lat w sinologii, przeżyłem okres entuzjazmu dla swojej specjalności, zdobyłem sporą biegłość w przedmiocie (skoro zlecono mi wykłady z orientalistyki) i zapewniam pana, że nie, dosłownie nie, żadnej z kultur wschodnich, nie można nawet porównać z pięknem i bogactwem kultury greckiej i z tem, co z niej wyrosło, to jest z współczesną, europejską kulturą i cywilizacją. Niczego nie można się tu nauczyć, nic tu nie jest do naśladowania.

Dodał jeszcze:

— Gdy przyjechałem do Chin, każdy kamień mówił mi o minionych wiekach, w atmosferze chińskich kół naukowych i artystycznych, wyczułem rytm 50-ciu stuleci, ale teraz, zaprzęgnięty w zawodowe interesy zastępcy prawnego w sądach chińskich i tłumacza, pilnuję tylko, abym nie wyszedł z wprawy w umiejętności odczytywania i pisania paru tysięcy znaków chińskich. Sinologia stała się dla mnie wiedzą buchalteryjną, fachem dającym mi paręset dolarów miesięcznego dochodu. A żyję atmosferą nie Chin starych, Chin — potęgi kulturalnej, ale w wirze mactw, intryg, politycznych targów i knoń „wieży Babel” — kontakty moje i większości Europejczyków ograniczają się do rozmów ze sprzedajną biurokacją, do audyencji u nankińskich ministrów, byłych żołdaków bez kultury, etyki...

Ton pogardy pomieszanej z nienawiścią do wszystkiego co chińskie dźwięczał ponuro we wszystkich rozmowach z re-

Tajemnicza i kusicielska



zydentami Chin, europejskimi hadlowcami, bankowcami, przemysłowcami, urzędnikami. „Okupanci” zaprawiali słowa swoje natychmiast — skoro dotknęli spraw chińskich, stosunków z tubylcami, ich charakterystyki — żółcią i jakimś swoistym jadem, którego nie brakło nigdy mieszkańcom Szanghaju. I dziwnie łączy się z tem niechęć do opuszczenia znie-nawidzonego kraju. „Mój panie — mówił innym razem zamożny rentjer — pocóżbym miał wracać do Europy? Nigdy nie miałbym tam takich wygód, jak w Szanghaju. Czy mógłbym sobie pozwolić na 15-stu służących? Na tak wygodne mieszkanie jakie mam na avenue Joffre? Nie, nie myślę zupełnie o wyjeździe”.

„Wieża Babel” wznosi się ku górze fałszem, nienawiścią, toceniem się miliardów złota, uciskaniem milionów ludzi pracujących na komfort rentjera, suchotniczym kaszlem kulisa ciągnącego riksze, nędzą rosyjskich fordanserek z „Delmonti” i groźbą stalowych blokhauzów na pancernikach na Jang-dze-kjang'u. Kiedy się to wszystko zawali?

Były profesor sinologii patrzył w przyszłość tylko na odległość do której on dobiegnie w wysięgu zdobywania pieniędzy. „Za lat pięćdziesiąt, sto? Niewątpliwie, prawdopodobnie — wieża Babel runie, a nas zgniecie lub zatopi w morzu chińskim. Zresztą Państwo Niebieskie jest wielką zagadką. Jeśli przeświadczenie o wyższości kultury chińskiej, powszechne u ogółu Chińczyków, którzy przypisują Zachodowi tylko zdobycze techniczne, nie zniknie, jeśli nas nie złączą nagwałt kopjować, uczyć się, nadrabiać, dopędzać, jak to robili Japończycy — kolos chiński pogrąży się po głowę w bagno, ale w to bagno wpadniemy i my z naszymi interesami, inwestycjami, utorowanymi drogami handlu”.

Prezydent Woosung Mercantile Marine College T. M. Wu, B. S., M. F. T. częstował papierosami w swej wytwornej limuzynie. Właśnie wracaliśmy z przyjęcia, wydanego przez burmistrza chińskiego miasta Wu Teh Czing'a w t. zw. Civic Center, podmiejskim terenie, gdzie dokoła pomnika narodowego bohatera, Dr. Sun-Yat-Sen'a wznosiły się wspaniałe budowle nowej, modernistycznej dzielnicy. W ratuszu ogromnym, przepięknym budynku w stylu chińskim, z wygiętymi dachami — w jednej z sal general-burmistrz, wysoki, energiczny mężczyzna zajął miejsce pośrodku stołu i oświadczył





Nadwodna osada rybacka na wyspce singaporskiej.

naszym kadetom, którzy mając przy nakryciu widelec i noże oraz pałeczki do wyboru, próbowali jeść pałeczkami.

— Gentlemen, wydaje się panom zapewne, dziwny nasz sposób jedzenia i trudny. Zwróć jednak panom uwagę, że połowa całej ludzkości postępuje się pałeczkami. — I generał nabrał sobie na talerz kureczaka i majonezu.

(Chiny 500 — Indje 300 — Japonja 90 milionów — Indochiny — Malakka — obliczyłem sobie zgrubsza i przyznałem w myśli raczej generałowi).

Mister Wu częstował papierosami swego sąsiada z prawej strony i mnie i z uśmiechem pełnym finezji mówił o dzielnicach nowopowstających, o tem jaki panuje ruch budowlany, jaki postęp i tempo prac. Niski, nerwowy, europejski — zetknął się z Europą w jej najmocniejszym punkcie, nad Tamizą, gdzie spędził parę lat na studjach morskich — Mr. Wu zamykał dużo entuzjazmu dla sprawy odrodzenia Chin w swoich płynnych ładnych zdaniach angielskich. Uprzejmy prezydent Szkoły Morskiej w Woosung'u obrał kilka punktów w naszej przejażdżce po mieście, gdzie kazał nam wysiąść z samochodu i podziwiać...

W Rhoda Cunningham Memorial Hospital, w szpitalu dla gruźlików, powstałym z ofiarności amerykańskiego konsula generalnego (filantropja czy kurs polityki amerykańskiej?) kwitnęły brzoskwinie i wiśnie, zieleniły się wrzose. Mozaikowe chodniki gięły się wśród fantastycznych kamieni, porośniętych, nieciosanych, dziwnie skupionych, napozór bezładnie. Wprost czuło się na żenicach, jaki srebrny blask musi być z tych kamieni w nocy przy świetle księżycy. Kolorowe wieże unosiły się jak bańki mydlane nad wierzchołkami drzew. Tu i ówdzie chłodny tunel łączył kwietniki i puste placzki. Drewniana rotunda wspierała się cienkimi kolumnkami o ziemię, jak odwrócony kielich liljowego kwiatu. Rozwignęte niebo płynęło nad tym ogrodem ciszy i skupienia. Kamienie — osypiska o wydymowych zrębach, leżały na dnie potoku.

W szpitalnym ogrodzie gruźlików jakby stężały godziny spoczynku chorych. Teraz nikt nie werandował. Ostre marcowe powietrze; zbyt ostre w kontynentalnym klimacie Szanghaju, aby chorzy mogli opuszczać ciepłe sale szpitala.

— Chorzy pochodzą z najzamożniejszych rodzin chińskich. — Zapewniał dyżurny lekarz, Chińczyk, rodem z jawajskiej Surabayi. — Nie mamy obecnie jednak wielu chorych.

Co trzeciego kulisa możnaby położyć do pustych łóżek szpitala Rhoda Cunningham'a. Czy kulis-gruźlik odczułby jednak czar ogrodu, skopjowanego w miniaturze ze słynnych pejpińskich wzorów? Nie. Kulis musi zdechnąć przy dyszlu swego wózka.

W Nanyang University (szkole technicznej, należącej do ministerstwa komunikacji, nie oświecenia) więcej było robotników, stawiających rusztowania, tynkujących, kujących młotami, niż studentów. Uniwersytet budował się, jak Civic Center. Dużo się buduje w Szanghaju.

Mister Wu zaprasza nas na obiad. Zdaleka widoczna wielka willa górowała na przedmieściu nad łąkami i wrzosiwiskami, lśniła łamiącym się na gontach, miedzianych okuciach i szybach słońcem, skłaniając się ku zachodowi. Zbliżła ujawniła się głęboka fosa otaczająca dom z ogrodem. Zatrzymaliśmy się przed pewnego rodzaju zwodzonym mostem. Z fosy buchnął nieznośny fetor, wdarł się w nozdrza, przeniknął i przesycił ubrania, wyciskał męczeński wyraz na twarzy. A Chińczycy, jak gdyby nigdy nic. Europejski prezydent nawet się nie skrzywił, powiedział jednak tonem wyjaśnienia, że w fosie dokonywa się jakiś proces gnilny. Stąd ten zapach: Willa należy do jego przyjaciela, wybitnego armatora, właściciela linii żeglugowej, który użyczył mu swego letniego mieszkania na urządzenie skromnego przyjęcia dla załogi „Daru Pomorza”. Mr. Wu bardzo żałuje, że nie zaprosił nas do College w Woosung'u, tak jakby należało przyjmować załogę szkolnej fregaty, ale gmach znajduje się w przebudowie, nadto Woosung jest dość odległy od Szanghaju.

W przelewających się falach fetoru wygłoszono kilka przemówień, wznoszono toasty.

Moja sąsiadka przy stole, Chinka, synowa armatora, spędziła kilkanaście lat w New Yorku. Pracowała tam. Była więc praczką, prasowaczką? Zachowywała się jak dama. Mąż jej studjował w Heidelbergu i miał w zdrowej postaci, w okularach na gładko wygolonej twarzy i w ruchach coś z niemieckiego bursza. Miękki kapelusz nad narodową „suttanną” upodabniał go znów do księdza.

Wieczorem tego dnia na balu w poselstwie R. P. spotkałem tych państwa jeszcze raz, w narodowych strojach. Oprócz wyfraczonych dyplomatów i oficerów marynarki, wszyscy Chińczycy zjawili się w jedwabnych, wspaniale błyszczących sukniach. Tak samo żony japońskich dyploma-



Szanghaj w nocy.

tów przybyły w kosztownych kimonach, dzwigając wzorzysty, zwinięty w garb rulon materji — obi. W salonach poselstwa było tłoczno od fraków, balowych sukien i marynarskich mundurów.

Noc, azjatycka noc kłębiła się nad miastem. Szanghaj płonął w niektórych okolicach łąkami wystaw i reklam. Życie pulsuje jeszcze o późnej godzinie: wałęsają się po ulicy prostytutki, kulisi biegną nieco sennie, annamita i sikki regulują ruch na granicy koncesyj ospalej, na rynek napływają już ludzie. Ostatnia noc w Szanghaju. U „St. George'a”, w „Delmonti”, gra orkiestra, pijani młodzieńcy w pijanych autach zatrzymują się u bram lupanarów, palarni opium. W francuskiej koncesji ulice długie jak legendarne węże morskie, gubią się daleko w nocy. Chińskie „taxi-girls” odtańcowują swoje trzy tańce za dolara szanghajskiego, w rosyjskim „barze” kierowniczką zakładu patrzy ucziwem oczyma żony oficera, zabitego przez chunchuzów, na brud, wylający z kątów, z oczu klientów, z przesyconej alkoholem at-

mosfery tego baru z ukrytem przejściem do pokojów na górze. Podupadły Fiedor śpiewa pijanym Chińczykom rosyjskie piosenki przy gitarze, podupadła dziewczyna marzy, że może — mimo wszystko — wyjdzie jeszcze zamąż. W „Cathay Hotel” zalewał robaka szampanem, przemysłowiec, zarwany nieudałą spekulacją. Noc, azjatycka noc.

Fregata drzemie w Soochow Creek.

Siedliśmy zamiast do łodzi, do wielkiej, krytej motorówki. Rzeka była tak wzburzona, że stateczek kładł się wciąż na burtę. W gwałtownym rozchybotaniu pędziliśmy z prądem wzdłuż wybrzeża. Sternik wymijał zrzęcznie płynące dżonki. Jutro popłyniemy do ujścia Jang-dze-kjang'u i długo, długo jeszcze fregatę omywać będzie żółte lepkie, brudne morze, aż czysty, nieskałany ocean, wymiatany wciąż tajfunami, ukołysze ją rytmem wolnej, nieskażonej obecnością człowieka, przyrody.

Fryderyk Kulleschitz.

## FATALNY ZEGAREK

Fatalna siła, mająca wszelkie cechy przeznaczenia, jaka ciąży na rzeczach martwych, często niespodziewanie komplikuje nasze życie i zmienia bieg wypadków tak dalece, że wzamian przewidywanej radości i szczęścia spotyka nas niezastulony zawód i szereg przykrości, powodujących w efekcie gorzkie uczucie rozczarowania i poczucie własnej bezsilności.

Właśnie o pewnym takim wypadku pragnę opowiedzieć, tembardziej, że wszystko zaczęło się zupełnie, napozór, niewinnie — mianowicie: przyjechał do nas teatr a ojciec podarował mi zegarek.

Zacznę jednak od początku.

Oddawna już kursowała po Szkole podniecająca pogłoska, że zamierza zjechać do nas regionalny teatr z sąsiedniego miasta, celem wystawienia sensacyjnej opery p. t. „Miłość, krew i śmierć”.

Wstrząsająca treść tej opery, była w 2 plutonie, tematem licznych rozmów i komentarzy, zwłaszcza, że jak powszechnie wiadomo, autor wymienionego utworu jeszcze z prapremjery, został odwieziony wprost do czubków, gdzie dotąd przebywa. Kilku reżyserów targało się na życie. Pierwszy tenor z drugim sopranem zaginęli bez wieści. Dyrektor był ścigany przez władze sądowe. Sufler rozpił się w drobny mak, a publiczność kilkakrotnie demolowała teatr do podstaw.

Rozpaloną temi wiadomościami wyobraźnię, podnosił jeszcze fakt, że obydwie bohaterki sztuki: Aldona i Bertranda stynęły z wielokrotnie premjowanej urody.

W przeddzień przedstawienia, Barnaba na kartografji wyrysował dwie uroczne sylwetki kobiece, co nawet wykładowce wyprowadziło, tak dalece z równowagi, że dał sobie i nam kwadrans wolnego czasu na uspokojenie umysłów.

Na premjerze, kiedy gremjalnie obsadziliśmy większość miejsc obszernej sali Braetwa Kurkowego, gdzie odbywało się przedstawienie — wszystkie nasze nadzieje zostały ziszczone z nadwyżką.

Aldona i Bertranda były prześliczne, a treść opery straszliwa.

Polegała ona na tem, że ojciec Roberta — Symforjon, ożenił się z córką Aldony — Bertrandą, natomiast Aldona wyszła za Roberta. Symforjonowi i Bertrandzie urodził z tego związku syn dwojga imion: Ildefons-Aureljusz, a u Roberta i Aldony córeczka: Łucja-Brunhilda. Dzieci te zostały porwane przez cyganów i nie wiedząc, że są rodzeństwem, po dojściu do lat — pobrały się. Tymczasem Robert zakochał się w Bertrandzie, a Symforjon w Aldonie i rozszedłszy się, pożenił na nowo według głosu serca. Z tych nowych stał się również dwoje dzieci: Ryszard-Karol i Sabina-Lukrecja. W Ryszardzie-Karolu zakochała się Łucja-Brunhilda. a Ildefons-Aureljusz w Sabinie-Lukrecji i po całej serji rozwodów pożenił się ze sobą. Bardzo ich martwiło, że nie mogli zorientować się w stopniu pokrewieństwa, gdyż, jak łatwo nawet laikowi wyliczyć, Symforjon stał się swoim własnym dziadkiem, a wnukiem własnego syna Roberta, wtedy gdy Robert jest ojcem swojej pierwszej żony Aldony, a pradiadkiem córki z drugiego małżeństwa Łucji-Brunhildy. Tymczasem, po strasznych awanturach wykryło się, że łącząc ich związku kazirodcze, to też ulegając fatalnym siłom, postanowili umrzeć.

Scena masowego samobójstwa była wspaniała!

W okropnej ciszy, przy niesłychanym napięciu nerwów widowni, rodzice przez dobre pół godziny konali we wspólnych objęciach, a dzieci rozłożone wianuszkami po całej scenie, gdzie które mogło. Od czasu do czasu, kiedy było im trochę lepiej, śpiewali piękne solowe arje lub chóralne partje.

Największe wrażenie wywierał jednak moment końcowego konania, kiedy mężczyźni przebijani oddawna sztyletami, a kobiety po zażyciu cjankali, nuciły półgłosem:

Odchodzimy nazawsze... opuszczamy zły świat...  
W strasznym bólu i męce bez końca.  
Jak zgaszony przez upał bladej róży kwiat...  
Poniesiemy swoją hańbę do słońca!...

Mnóstwo ludzi miało łzy w oczach po tej scenie, a Barnaba, który upodobał już sobie Bertrandę, szepnął do mnie ponuro:



— Patrz, jak ona kona... patrzeć, psiskrew, nie mogę!  
Na drugi dzień posłaliśmy dwa wielkie bukiety kwiatów z bilecikami. Ja — dla Aldony, a Barnaba dla Bertrandy.

W tym samym czasie wraz z listem, przyszła mała paczuska do mojego ojca. Jak już kiedyś wspominałem stary cierpi na manję kolekcjonowania. Wiecznie tuła się po antykwniach i zawsze coś ciekawego wygrzebie.

Tym razem był to zegarek.

Taki sobie zwykły, stary, kieszonkowy zegarek.

W stalowej kopercie, dosyć gruby, z podniszczonym cyferblatem. Nic osobliwego. Nawet byłem tym pomysłem starego trochę dotknięty, uważając, że mógł się zdobyć na coś bardziej interesującego.

Tymczasem po przeczyceniu listu, okazało się, jak według pozorów nawet zegarka nie można sądzić.

Cała niezwykła zaleta nadesłanego prezentu polegała na tem, że był to budzik. Prostu mały, kieszonkowy budzik.

Trudno opisać, co za zachwyt wywołał ten przedmiot w plutonie.

Chodził bardzo punktualnie i dzwonił o dowolnej porze. Ton posiadał czysty, wysoki i zadziwiająco, jak na taką drobną rzecz — silny, przyciemniając, ani na chwilę, umiał wściekle terkotać dobre 5 minut.

Po bardzo skrupulatnym obejrzeniu i zbadaniu przez wszystkich zainteresowanych, został uroczyście zawieszony na honorowym miejscu pod, ukrywając przed władzami, fotografią Greta Garbo i miał za zadanie przerywanie mocnego snu sali N 7 na pięć minut przed pobudką. Spełniał tę odpowiedzialną funkcję bez zarzutu, to też w niedługim czasie zyskał sobie poważne grono, nie tylko wielbicieli, ale i wyznawców, którzy w całym gmachu Nr. 3 regulowali swoje chronometry według jego przeraźliwie — czujnego głosu.

Miałem poważną ilość propozycji handlowo-towarzyskich na temat wymiany, wypożyczenia, sprzedaży i t. p., które jednak, będąc dumny z posiadania tak niezwykłego czasomierza, odrzucałem z pogardą, nie bacząc, że mógłbym w ten sposób ubić niezły interes.

Najbardziej oczarowany zegarkiem wydawał się dla czegoś Barnaba. Ciągłe kręcił się koło niego, oglądał go, przymierzał, wachał, obmacywał, postukiwał, przykładając ucho do koperty i długo w milczeniu przysłuchiwał się do dzwicznego gongu.

Musiał go w jakiś niepojęty sposób urzec ten nieprzeciętny przedmiot, gdyż kiedyś smętnie spoglądając w okno powiada do mnie:

— Dam ci za ten budzik tybinki i nowy łańcuszek mundszukowy.

Spojrzałem ze zdziwieniem na tę smutną twarz.

— Gwizdę na tybinki i łańcuszek — odpowiedziałem z godnością.

— Mogę również do tego dodać i popręg — dorzucił niby od niechcenia.

— Bimbam popręg.

Barnaba westchnął i chwilę miledzał coś ciężko w myśli ważąc.

— Będę ci „Katedrę“ czyścił przez miesiąc — zaproponował.

— Ubóstwiam sam czyścić tę kobylę — wyznałem dość nieszczercze.

— Zapoznam cię z Lolą — bąknął zupełnie już bez nadziejnym tonem.

— Nie zależy mi na niej — odpowiedziałem lekceważąco — mogę sobie przygadać lepszą.

Posłał w przestrzeń bezradne spojrzenie i znów przygnębiająco westchnął.

— Słuchaj Barnaba — oświadczyłem wzruszając ramionami — ty masz niezdrowe poczucie własności... zrozum, że to jest gościniec od starego, po drugie interesujący sprzęt, następnie pełni tutaj służbę publiczną... nie staraj się mnie przekupić... nie zachapiesz go za żadne skarby świata.

Barnaba zbladł, po tem mojem wynurzeniu i długo z wyrazem melancholji obserwował muchy latające po szybie.

— No to co będzie? — zdołał wreszcie wymamrotać — nie mogę żyć bez tego zegarka.

Jakiś czas namyślałem się, zestawiając w sobie wagę, jaką przywiązywałem do zegarka, jako podarku i przywiązanie, jakie mam do tego ciężkiego warjata. Wyobraziłem sobie błyskawicznie okropną chwilę pogrzebu. Trumnę niesiemy w czterech: ja i Stach Mogiła w pierwszej parze, a Lutek Wałach i Minoga w drugiej. Mnóstwo wieńców z czarnymi szarfami. Zapłakana rodzina i moje przemówienie na cmentarzu: „Kochani koledzy... razem z Barnabą schodzi do grobu... najbardziej zaszczytna postać wśród podchorążych Rzplitej... dzielny i ofiarny... rycerski i szlachetny... szczery i zacny... złote serce... najlepszy przyjaciel... i tego... tego... Tutaj poczułem w nosie niespodziewaną wilgoć i jakaś delikatna mgła przesłoniła mi smutny obraz mojego druha i kompana.

Jeszcze nie panując nad sobą drżącym głosem powiedziałem:

— Śmierciobym ci, draniu jeden, nie żałował... a głupiego zegarka będę żałował...

Barnaba na tą wiadomość zbladł jeszcze więcej, poczem w przerażającym milczeniu i wobec licznych osłupiałych świadków, podszedł do swojej szafki i wyjął dość duże pudełko od czekoladek, przewiązane czerwoną wstążką.

— Oko za oko — powiedział krótko, bardzo wzruszonym tonem.

Historyczny ten akt wywołał na sali Nr. 7 straszliwe wrażenie. Zapanowała nieruchomość i cisza iście grobowa, albowiem, jak w wielkiej tajemnicy wszystkim było wiadome, wspomniane pudełko zawierało sanktuarjum serca i syzyfowy dorobek całego dotychczasowego żywota Barnabowego. Pudełko to miało swoje intymne dzieje i niemniej enigmatyczną legendę, było powodem wszelakich wersyj i domysłów, przedmiotem zazdrości i podziwu, ośrodkiem gorących zainteresowań. Zawierało sto krwawo zapracowanych, od maleńkości z pietyzmem ciułanych — listów miłosnych.

Obecnie listy leżały systematycznie poukładane paczkami po 10 sztuk. Dobrane według koloru: liljowe, różowe, seledynowe, kremowe. Każda paczka owiązana była barwną wstążeczką, pod którą znajdował się na kartce indeksik z krótkim opisem pewnych szczegółów, jak: data i okoliczności poznania, cechy charakterystyczne, wypadki specjalnej wagi, data i okoliczności zerwania i wreszcie uwagi ogólne w rodzaju: „nie zapomnę do grobowej deski“, „umieram z tęsknoty“, „żyję z jej imieniem na ustach“, „mieszka w moim sercu“, „szkoda cię“, „nie będziesz ty, to będzie inna“, „wolę Julcię“, „niewierna żmija“, „zgiń, przepadnij i bądź przeklęta“.

— Barnaba tyś zwarjowa! — krzyknąłem siadając na łóżku, zupełnie przybity wielkością jego gestu.



Barnaba jednak bez słowa wetknął mi w ręce drogie pudełko, poczem z dumnym uśmiechem na ustach, zabrał zegarek z pod Greta Garbo i szybko opuścił zaskoczonych towarzyszy.

Już wieczorem, przy kolacji, zaobserwowaliśmy pewne przykre zmiany w jego charakterze. Mianowicie, zachowywał się bardzo mrukiwie i nieprzyjemnie, a wszelkie najdelikatniejsze przypomnienia o zegarku, traktował, jako osobistą i do tego poważną obelgę.

Na pożegnalny występ opery wybraliśmy się ogromnie wyświeżeni i wyelegantowani tembardziej, że po przedstawieniu mieliśmy iść z Bertrandą i Aldoną na kolację.

Siedzieliśmy w pierwszym rzędzie, tuż przed orkiestrą. Niedaleko siedział komendant Szkoły z rodziną i wielka ilość różnych szarż. Teatr był nabity.

Zbliżał się właśnie najbardziej rozczulający moment zbiorowego konania. Artyści wbili już w serca sztylety i zaczęli truciznę. Orkiestra pianissimo, grała tkliwą melodję pożegnania. Na sali panowała śmiertelna, pełna przerażenia cisza.

W tym właśnie podniosłym momencie, rozległ się dźwięk budzika.

Staszliwe terkotanie rozdarło ciszę na sto tysięcy drobnych części i każda z tych części zaterkotała oddzielnie.

— Boże... o Boże! — jęknął Barnaba i odrazu zzieleniał.

Zrozumiałem wszystko.

— Gdzie on jest? — wrzasnąłem pełen wstydu.

— W spodniach... w kieszeni... — załkał głosem nieboszczyka.

— To go wyjmij, cholero. — ryknąłem nie panując nad sobą.

Zerwał się i gorączkowo na oczach całej zdumionej widowni, zaczął chwytać się drżącymi rękami za kieszenie z gestykulacją człowieka lykającego ogień.

Później wszystko szło, jak w przyspieszonym filmie.

Zegarek złapany niepewną ręką upadł z piekielnym hałasem na podłogę. Rzuciliśmy się obydwaj na tę zarazę, niczem rozjuszony żbiki. Uderzywszy się z całej siły głowami, siedliśmy ogłuszeni na podłodze, jeden naprzeciwko drugiego, a zegarek tymczasem wpadł do orkiestry.

Orkiestra gasnąc na oczekaniu i wydając pełną gamę fałszywych dźwięków, wśród wielkiego zamętu zajęła się poszukiwaniem dzwoniącego potwora.

Na scenie wszystkie trupy zmartwychwstały i gorączkowo latając, coś krzyczały. Wreszcie majestatycznie zjechała na dół kurtyna.

Publiczność w dzikim szaleństwie biła brawo, tupiała nogami i gwizdała.

Komendant Szkoły spojrzał na nas z niesmakiem i coś zaczął mówić, głos jego zginął jednak w ogólnym tumultie.

Nie długo myśląc wzięliśmy nogi w troki i wyszliśmy lekko caplując na ulicę, a za nami wyleciał, jak grzmot, szalony śmiech teatru.

Ocierając pot z czoła, zapytałem z gorczycą.

— Na którą nastawiłeś?

— Na 5-tą.

— Więc co się stało?

— Musiał się drań przesunąć w spodniach od gorąca — odpowiedział Barnaba drewnianym głosem i machnął bezsilnie ręką.

Taka to bywa czasami fatalna złośliwość martwych przedmiotów.

Adam Ostoja.





Wanda Melcer. — Czarny Łąd — Warszawa. — Dom Książki Polskiej Warszawa 1936.

Wiele hałasu wzbudziły śmiało i z dozą surowego obiektywizmu pisane reportaże Wandy Melcer, odsłaniające na łamach „Wiadomości Literackich” całe okropne zacołanie kulturalne ghetta żydowskiego. Czytelnik tych reportaży wprost nie chce nieraz wierzyć, że opisywane w nich fakty i sceny dzieją się o kilkaset, nieraz o kilkadziesiąt metrów od centrum stolicy 33-miljonowego państwa — tak dalece tchną one odwieczną, starożytną obyczajowością wschodu, fantastycznym zabobonem, nienaruszalnym i bezdusznym rytualizmem rażącym dziś potwornością swego zacołania.

Reportaże te, łącznie z pewnym ogólnym uzupełnieniem, złożyły się na wcale pokaźną i godną uwagi każdego inteligentnego człowieka, książkę. Bez względu na stopień anty — lub filo-semityzmu trzeba stwierdzić, że ten dziwny upór usankcjonowany powagą dogmatów religijnych, zmuszający do zachowywania obrzędów i zwyczajów będących klasycznym przykładem ciemnoty, musi przyjmować do głębi każdego społecznika, jako zjawisko niebezpieczne dla postępu i zatrzymujące tysiące ludzi na pewnym pierwotnym poziomie cywilizacyjnym.

Bezsensowny i niebezpieczny zdrowotnie rytuał obrzezania, bezmyślne i ogłupiające młodych chłopców wykuwanie na pamięć całych stroniec talmudu na nędznych ławkach chederu, antyhumanitarne mordowanie w rytualnym okrucieństwem bydła nie znajdujące żadnego istotnego uzasadnienia w przepisach religijnych, poniżająca sytuacja kobiety w rodzinie żydowskiej i łatwości procedury rozwodowej, lichwiarski handel ziemią cmentarną — to najbardziej piękne zagadnienia poruszone żywo i szczerze przez autorkę.

Jedną z tych kwestyj, ubój rytualny, jest dziś szczególnie aktualny i znajduje się nawet na porządku obrad sejmowych. Można nawet przypuszczać, że reportaż Wandy Melcer na ten temat przyczynił się do zwrócenia ogólnej uwagi na ten temat i pośrednio przyczynił się do powstania projektów radykalnego jego rozstrzygnięcia.

Poruszając szereg powyższych zagadnień autorka uważa, że należyte ich reformowanie lub zniesienie przyczyni się w dużym stopniu do zniesienia psychicznej bariery różnic i odmienności obyczajowych między społeczeństwem żydowskim i resztą ludności.

Janusz Stępowski „Gdynia”. — Wyd. Ligi Morskiej i Kolonjalnej. Str. 64. Cena zł. 1.—

Autorem utworów poetyckich, składających się w niniejszym zbiorze na sceniczną całość, jest znany, gorliwy poeta-marynista Janusz Stępowski, autor poematu p. t. „Legenda o masztowej śnieżce”, i niedawno wydanego utworu scenicznego p. t. „Na morskich szanłach Rzplitej”. Tym razem, w wierszach J. Stępowskiego przewija się w pięknych, żywo i z talentem napisanych obrazach, nie historyczna dziejów ubogiej, nieznanaj-nikomiu wioski rybackiej Gdyni, do czasów świetnego jej rozkwitu w kształtach twórczego, wspaniałego portu Polski nad Bałtykiem. Utwory poetyckie przerobione zostały na deklamacje solowe i chóralne przez Wandę Tatarkiewicz Małkowską, która w inscenizacji, załączonej w tekście, podaje również wszystkie wskazówki, potrzebne tak dla kierownictwa reżyserskiego, jak i dla poszczególnych aktorów-amatorów. Prócz inscenizacji, książka zawiera przytem gotową ilustrację muzyczną w postaci drukowanych nut. Wspomnieć wypada, że ta ilustracja muzyczna do „Gdyni” jest dziełem Władysława Macury, zmarłego niedawno, utalentowanego kompozytora, znanego za życia z wielu piosenek, specjalnie utworzonych przez niego do słuchowisk radjowych dla młodzieży.

W wyjątkowo udaną szatę graficzną wyposażył książkę art. mal. Adam Siemaszko, kierownik artystyczny „Podchorążego”.

K. Vanderbilt. — Żegnaj Fifth Ave. — Rój. — Warszawa 1936.

Kina wprowadziły modę na superlatywy, każdy niemal film musi być niezwykle, przepiękny, gra niedościgniona, fenomenalna. Doszło do tego, że dziś prawdziwe wrażenie zrobiłaby reklama zredagowana np. w ten sposób: taki sobie przeciętny film, niebrzydka aktorka, niebardzo się zgrywa.

Z filmu moda rozszerzyła się i na inne dziedziny sztuki, w jego ślady poszedł teatr, poszła literatura. Co krok w reklamowych recenzjach można spotkać porównania świeżo wydanych utworów do najsłynniejszych dzieł literatury, a co drugi młody autor jest przedstawiony jako groźny konkurent najsłynniejszych twórców. Skądinąd niezła książka, książka, która ze względu na poruszone aktualne zagadnienia, oryginalne żywe ich ujęcie może być ciekawa i wartościowa przy tego rodzaju metodzie traci — czytelnik, który nieostrożnie uwierzył reklamie, zawiedziony, rozczarowany tem krytyczniejszą się do niej stosunkowuje. Właśnie tak się przedstawia sprawa z Vanderbilt'em, którego z przesadą nie wahano się porównać do Sinclaira.

Jeżeli odrzucić tę przesadę, to można się zgodzić, że rzeczywiście Vanderbilt bardzo ciekawie wprowadza czytelnika w środowisko nielicznej elity finansowej Ameryki, odsłania stosunki wśród niej panujące, rzeczy przykre, lecz przedewszystkiem śmieszne. Specjalnie śmieszne i niezrozumiałe są pewne cechy umysłowości amerykańskiej, które stanowią o tem, że społeczeństwo powstałe z przybyszów z Europy, żyje już życiem odmiennem i tworzy, jakże różną od europejskiej cywilizację.

Pod skalpel krytyki Vanderbilt'a dostała się i Europa, a właściwie jej czołowi ludzie przed i powojenni. Dostał się Hitler, Stalin, Mussolini i szereg innych postaci.

Gdy gazety donoszą o wielkich mowach i programach tłum szarych ludzi poznaje urzędowe oblicze wadzów.

Vanderbilt oświetla ich od strony małych zdarzeń, które jednak stanowią cenniejszą, bo prawdziwszą charakterystykę i to właśnie może zaciekawić i ciekawi. W. B.

Sfulbert Footner — „Niebezpieczny ładunek” — T-wo wydawnicze „Rój”. — tłum. W. Komarnicka — 1936 r.

Niebezpieczny ładunek — to pamiętnik detektywki, sekretarki znanej M-me Storey. M-me Storey to Sherlock Holmes w spódnicy — piękna ta dama, wzbudzająca wyglądem swym zazdrość innych kobiet, poświęca swoje zdolności na usługi różnych ludzi, chcąc odkrywać zawiłe zagadki kryminalne.

W „Niebezpiecznym ładunku”, M-me Storey zostaje zaangażowana przez młodego milionera, Horacego Lagheta, do czuwania nad jego życiem. Bogacz ten, postępując zawsze w życiu brutalnie nie licząc się z niczem, posiada wiele wrogów, którzy knują przeciwko niemu spisek; dlatego też wybierając się na sześciotygodniową wycieczkę jachtem, organizuje dyskretną własną obronę w osobach Roziki Storey i jej sekretarki.

Książka ta zawiera wiele emocjonujących przeżyć, jakich doznają goście na jachcie i opisuje walkę, jaką muszą stoczyć [detektywki, chcące ocalić Lagheta. Powieść jest pisana bardzo żywo, a wprowadzenie nowego typu detektywów-kobiet — wpływa dodatnio na zainteresowanie jej treścią. Postacie nie są przedstawione szablonowo, może tylko główna bohaterka jest zanadto „nadzwyczajna”.

Tłumaczenie dobre.

Jacques Valdour. — W krainach obu Nilów. — Wyd. Książnica Atlas — Lwów — Warszawa 1936 r.

Nasza literatura podróżnicza wzbogaciła się znów o skromną napozór, lecz cenną książkę znanego podróżnika francuskiego Valdoura. Odbył on wielką podróż przez Sudan anglo-egipski. Wraz z autorem płyniemy zwinną „feluką” w górę rzeki nubijskiej, następnie z Omdurmanu wyruszamy karawaną do El-Obeid, poczem znów wodami Nilu Białego do Faszody, skąd zawracamy na północo-wschód do Roseires a dalej Nilem Błękitnym do Chartumu, położonego w miejscu, gdzie Nil Biały łączy się z Błękitnym.

Valdour o swej podróży opowiada w taki sposób, tak barwnie i z takim realizmem, że obrazy przez niego opisywane stają nam jak żywe przed oczami.

Widzimy krajobrazy pustynne, wsie i miasteczka arabskie, odczuwamy niemal kołysanie łodzi na falach Nilów i podziwiamy wspaniałe widoki nocy afrykańskiej. Poznajemy ludzi, Nubijczyków, Szylluków, Arabów — ciemne i jasne strony angielskich rządów kolonialnych, błogosławionych nawet przez Arabów po krwawych rządach derwiszów Mahdi'ego.

Dla każdego czytelnika, żywiącego chęć poznania tajemniczych dzieł „Czarnego Łądu”, dla każdego z nas, w których tętni, ukryte często, lecz potężne pragnienie wędrówki po nieznanym świecie — książka Valdoura będzie źródłem naprawdę głębokich i pięknych wrażeń. S.

Stanisław Jerzy Lec. Satyry patetyczne. Warszawa, Wyd. M. Fruchtmanna, 1936.

„Difficile est satiram non scribere” stwierdza Lec w pierwszym wierszu swego zbiorku satyr. W naszej literaturze — jak wiadomo — dział ten jest raczej ubogi. Gdzieś tam w „zamierzchłych” czasach pisali serdeczną krwią i żółcią Naruszewicze czy inni Krasinscy. Ale i ich oburzenie i gniew ograniczało „rozsądne myślenie”. Tymczasem satyra nie da się wypracować na zimno, nie zrodzi się ona inaczej jak w pasji twórczej miłości czy nienawiści. Nawet jeśli się ją obdarzy epitetem „patetyczna” rozerwie ona sztywne formy klasycyzmu i wybuchnie gryzącym śmiechem a czasami i — nieomal płaczem. Stanisława Leca znamy jako łęgiego poeetę, o wyraźnym obliczu społecznym. Droga, jaką obrał w ostatnim zbiorze jest dla nas konsekwencją dotychczasowego rozwoju jego twórczości. To czego nie mógł osiągnąć śpiewem i barwnym słowem poetyckim usiłuje dzisiaj zdobyć szturmem bolesnego szyderstwa. Satyra w jego ujęciu jest też świadomym aktem społecznym.

Lec wyspecjalizował się w wierszu zwężym, uderzającym ostro i boleśnie. Mimo, że się do tego nie zechce przyznać jego umiejętność władania wierszem pozostaje pod przemożnym wpływem Tuwima. To nawet dziwne: znakomity „piękno duch” patronuje poczynaniom ambitnego „społecznika”. Ale i takie cuda zdarzają się w świecie zjawisk artystycznych i społecznych.

Sm.

H. Lenczewska-Bormanowa. — Z. S. R. R. w oczach kobiety. Tow. Wyd. „Rój” — Warszawa 1936.

Zwiedzanie Rosji Sowieckiej nie jest rzeczą tak prostą jakby się zdawało. Cudzoziemiec, otoczony troskliwą opieką władz poznaje to co mu pokażą i „objasnią”. Wędrówki nieprzewidziane w programie zwiedzania napotykać na znaczne trudności. Dlatego też w dotychczasowych książkach o Rosji Sowieckiej znajdujemy albo głębsze, lecz teoretyczne rozważania nad politycznymi, ekonomicznymi lub kulturalnymi zagadnieniami życia sowieckiego, albo oderwane opisy poszczególnych „reprezentacyjnych” instytucyj

sowieckich. H. Lenczewska-Bormanowa postawiła sobie za zadanie dać obiektywny i realny obraz życia Z. S. R. R. — i zadanie to w swym reportażu osiągnęła. Wrażenia „pokazów” uzupełnione są znakomitemi obserwacjami z życia ulicy, z krótkich rozmów z „szarym człowiekiem”. Wrażenia te, podane bez żadnej tendencji dają rzeczywisty obraz codzienności życia sowieckiego. Zwiedzając Moskwę, Tułę i Kijów, autorka opisuje instytucje sowieckie, które przeważnie rzeczywiście przedstawiają się imponująco, zwłaszcza jeżeli weźmiemy pod uwagę poprzedni stan prymitywu i zaniedbania. Wspaniałe instytucje opieki nad matką i dzieckiem, żłobki, wzorowa wieś-kolchoz imponują nam, lecz wzbudzają pewną nieufność gdy pod Kijowem poznamy wygłodzone wsie, skąd ludność po 40 km. maszeruje po chleb do Kijowa. Natomiast to co wywołuje w nas podziw bez zastrzeżeń, to — przełom w duszach zwykłych, szarych ludzi — a zwłaszcza nowa młodzież sowiecka. Ludzie idei, którzy w zapamiętałym dążeniu pną się coraz wyżej w dziedzinę zdobycia niedostępnej dotąd kultury materialnej i duchowej, ludzie wychowani we współdziałaniu i rozumiejąc jego wartość. Dzieci, czyste, otoczone opieką wszędzie, nietylko w zakładach, proste dziewczyny wiejskie w teatrach, „Park kultury i wychnienia” który dziennie odwiedza 270.000 osób — analfabeci zwiedzający wystawę obrazów — rozmach „całej Moskwy” budującej Metro — oto fragmenty, które w nas rzeczywiście wzbudzają podziw i szacunek.

Książka Lenczewskiej-Bormanowej jest jednym z najlepszych ostatnio reportaży, którego prawdziwą wartość stanowią obiektywizm, żywy i barwny język literacki i wielka zdolność spostrzegania najdrobniejszych a charakterystycznych przejawów życia. S.

„Niepodległość” (tom XIII zes. 2 (34)). Czasopismo poświęcone dziejom polskiej walki wyzwoleniczej w dobie powstaniowej. Wydawnictwo Instytutu Badania Najnowszej Historji Polski.

W ostatnim tym zeszycie zamieszczono szereg ciekawych prac:

Dr. M. Złotorzycka przedstawiła „Działalność Związku Ludu Polskiego w Anglii”, w którym najważniejsze role odegrali znani nam z innych prac te same autorki — wybitni uczestnicy Komuny paryskiej, jak Walery Wróblewski, Teofil Dąbrowski i Józef Rozwadowski. Szczególnie interesujące są w tej pracy szczegóły kreacji roboty carskich prowokatorów, zwalczających wszędzie poczynania polskich emigrantów.

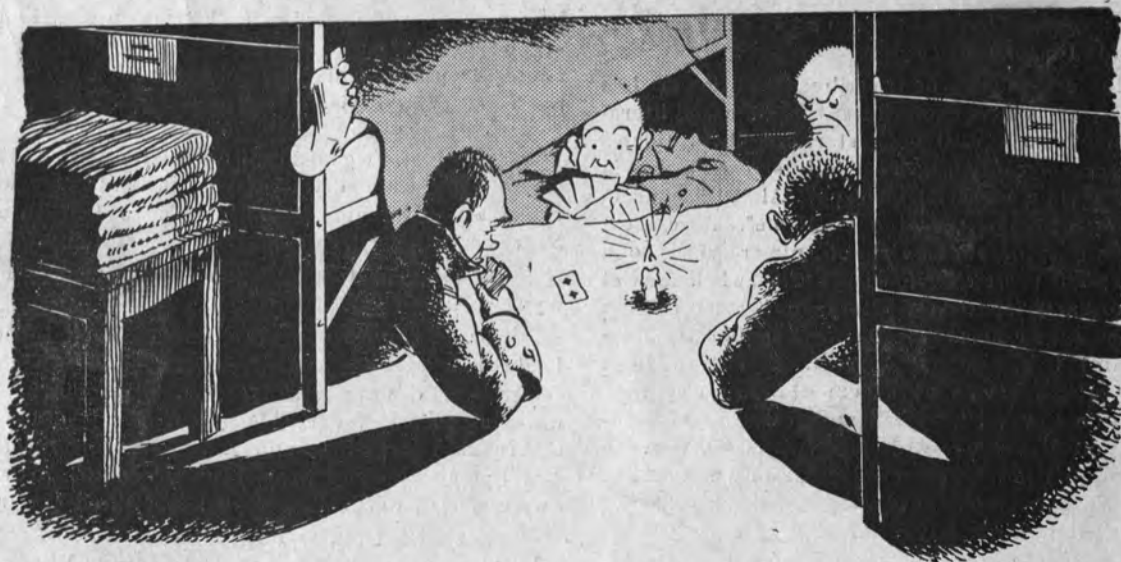
Kazimierz Król, w następnym artykule skreślił krótkie biograficzne, poświęcony Aleksandrowi Vacqueret, Francuzowi, który walczył w powstaniu styczniowym, a potem miłość swej przybranej ojczyzny przypieczętował więzieniem i Sybirem.

Dalej znajdujemy 2-gą część „Wspomnień starego działacza”, Józefa Nowickiego, który po Sulkiwiczu zajął miejsce urzędnika komory celnej w Wierzbolowie i kontynuował przemysł bibuły socjalistycznej przez granicę. Wiadomości podane przez Nowickiego mają charakter rewelacyjny i są doskonałym uzupełnieniem dziełka „Bibula” Marszałka Piłsudskiego, który wielu najciekawszych szczegółów tej pracy nie mógł ujawnić ze względów konspiracyjnych.

Jak już nieraz wspominaliśmy, począwszy od 30-go zeszytu, w „Niepodległości” drukowane są „Listy Józefa Piłsudskiego” w opracowaniu Leona Wasilewskiego i Władysława Pobóg-Malinowskiego. W obecnym zeszycie znajdujemy też dalsze 4 listy, dotąd nigdzie nie drukowane. Wszystkie pisane są do Związku Zagranicznego Socjalistów Polskich w r. 1895 (lipiec-wrzesień) i dokładnie przedstawiają stan roboty partyjnej w kraju.



# Rozkosze w wojsku



Redaktor Naczelny:  
podchor. TADEUSZ ŻENCZYKOWSKI  
Zastępca Redaktora: podchor. J. SZPER



Sekretarz Redakcji: podchor. W. BRODZIKOWSKI  
Kierownik artyst.: podchor. A. SIEMASZKO  
Kierownik Administr.: podchor. H. JANCZEWSKI

Adres Redakcji: Warszawa, Smolna 26/28.

Administracji: W-wa, Nowy Świat 23/25 W. I. N. O.

Konto P. K. O. 26.720.

**WYDAWNICTWO WOJSKOWEGO INSTYTUTU NAUKOWO - OŚWIATOWEGO.**

Redakcja rękopisów nadesłanych nie zwraca.

Redakcja zastrzega sobie prawo dowolnego wykorzystania nadesłanych artykułów i fotografii, jak również prawo zezwalania na ich przedruki.

REDAKCJA: podchorążowie i szeregowi z cenzusem: W. Bieliński, J. Błazejewski, H. Bzyl, J. Dostatni, K. Duszyński, M. Epstein, W. Fachinetti, S. Fiszer, S. Frontczak, A. Górski, S. Gutowski, R. Gürtler, Z. Janiga, J. Kierst, Z. Kmita, S. Kogut, S. Kołt, M. Koterba, E. Kotkowski, J. Koziański, T. Królicki, B. Kucharski, J. Kozielewski, S. Lax, A. Leszczyński, Z. Laguna, T. Machajski, K. Michalski, W. Milezarek, M. Mokrski, B. Nuskowski, M. Palmarczuk, E. Pankiewicz, W. Skoczeń, B. Skraba, A. Staszewski, Strykowski, K. Szychowski, W. Szyszkowski, C. Tarnowski, J. Teter, J. Tułasiewicz, J. Wortman, T. Wyszowski, W. Zacharjasiewicz, Z. Zajęzkiewicz.

Prenumerata: kwartalnie 3 zł., miesięcznie 1 zł., egzemplarz pojedynczy 50 gr.

Druk. „SPOŁECZNA”, Pl. Grzybowski 3/5, tel. 205-80.